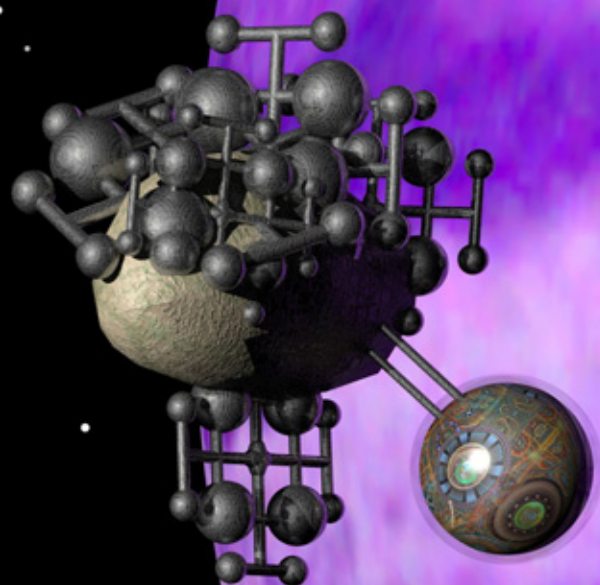


informato**r**

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

NR 272
grudzień 2011



25. KONWENT POLSKICH KLUBÓW FANTASTYKI

Nordcon 2011

ISSN 1505-8476



MINIGALERIA NOROCONU (1)



MIGAWKI NACZELNEGO Z NORDCONU ÓWIERĆSETNEGO

Nie byłem na zupełnie pierwszym Nordconie, tym sprzed powstania giekaefowskiej federacji klubów fantastyki. A to dlatego, że Papiera i innych trójmiejskich fanów SF poznałem kilka miesięcy później. Ale od pierwszego z sobieszewskich Nordconów (1987 r.) – bywałem już stałym bywalcem naszego flagowego konwentu. Ba: pobyt na kolejnych Nordconach stał się dla mnie największą atrakcją każdego roku; w pracy zaś głośno i dobitnie przedzłazłem, że mogę nie wziąć wolnego w okolicach świąt czy wybrać urlop poza sezonem – ale tych parę dni na przełomie listopada i grudnia to dla mnie absolutna i niepodważalna świętość (czyli: NJN!).

Później jednak problemy i obowiązki dnia codziennego zaczęły dawać znać o sobie – i wyjazdy na konwenty stawały się coraz trudniejsze do pogodzenia z tym wszystkim. Dyskomfort ów okazał się w końcu na tyle silny, że de facto zniweczył całą odprężającą radość z przebywania przez kilka dni w zupełnie innym świecie. Trzeba było podjąć męską decyzję: pożegnać się z konwentem. Bolało – ale Zakład Karny w „Hutniku” (2001 r.) okazał się moim ostatnim Norconem.

Tak więc konwenty pohutnikowskie są dla mnie zupełną abstrakcją, znaną jedynie ze zdjęć. Miałem jednak okazję zobaczyć „Drejka” na własne oczy, gdyż kilka lat później (2006 r.; Nordcon pod hasłem *Baśni tysiąca i jednej nocy*) przyjechałem na niecały dzionek, by wesprzeć program publicystyczny. Pamiętam, że uczestniczyłem w prześmiesznym panelu poświęconym imprezom fanowskim za zgrzebnych czasów PRL-u; a w kularach poznaliśmy się m.in. z Masłem – czyli człowiekiem, który tworzy absolutnie rewelacyjny prequel *Wampiurów*.

W tym roku jednak nie dałem się długo namawiać: konwent jubileuszowy, „wszystkie ręce na pokład” (jestem wręcz głęboko wdzięczny, że o mnie pamiętano – oraz mam szczerą nadzieję, iż rzeczywiście przydałem się w jakimś stopniu). Na całosci Habiatu też nie byłem, ale jednak w rozbudowanej „Primaverze” spędziłem pełne dwie doby. Przyznam zresztą, że jadąc autobusem do Rozewia czułem się nieco wyalienowany; ale na miejscu poczułem się tak, jakby nie było tych lat przerwy, jakby moja obecność nie była incydentalna, jakbym poprzednio był tu zupełnie niedawno. Miło było też zobaczyć wielu klubowych i konwentowych Przyjaciół i Znajomych, z częścią z nich dłużej lub krócej pogadać, a części przynajmniej uściśnąć dłonie...

Poniżej pozwałam sobie na garść spostrzeżeń – całkowicie subiektywnych i luźnych.

Film. Obejrzałem wreszcie drugi *Tron*. Swoiste jubileuszowe deja vu: wszak pierwowzór był hitem wideo w mych klubowych początkach. **Konkurs Fandomu.** Na sali znalazłem się właściwie przypadkiem. Kręcił się tam też po sąsiedzku (księganina była vis a vis) Student. Organizatorzy z SKF-u stwierdzili, że głupio by było bez drużyny GKF-owskiej. Udało się ściągnąć jeszcze Ogana. Pytania wybieraliśmy z historii fandomu oraz z literatury i filmu. Początkowo mieliśmy pecha: przejechalismy się nawet na czymś dotyczącym GKF-u, zaś przeciwne drużyny losowały akurat te literacko-filmowe, na które znalismy odpowiedzi. Ale potem Fortuna się do nas uśmiechnęła – i jakimś cudem, o włos, wygraliśmy ten konkurs. Za zdobyte kredytyki kupiłem sobie *Głos Lema* i opowiadania Grabińskiego. Już siadamy do układania pytań na przyszły rok! **Wspominki.** Dopiero na zapisach wideo z dawnych Nordconów widać, jacy byliśmy szczupli i ciemnowłosi. Szkoda tylko, że nie zachowało się prawie nic filmowego z Nordconu wszech czasów (czyli Rebelii; 1994 r.). Jeśli jednak niedawny eksperyment CERN-u się potwierdzi i neutrina okażą się szybsze od światła – to może ktoś cofnie się w czasie z kamerą? **Prelekcja.** Miała być o wizji bitew kosmicznych w konkretnej space operze, a zeszło (nader zresztą ciekawie) na ogólne wyobrażenie kosmosu oraz na współczesną kulturę masową. **Panel.** Skupił się na wątku wyobrażania sobie Obcych i kontaktu z nimi (było równie ciekawie). **Spotkanie autorskie.** Przysztof Chalik (znany z „Informatorów” 269 i 271) opowiadał o swej plastycznej pasji i pracy, rozdawał też swe znakomite grafiki z autografami. **Koncert.** Muzyka, lasery, projekcja – i świetny kontakt z publicznością. Zaproszenie tria Przybyłek/Chalik/Letkiewicz było strzałem w dziesiątkę! **Konkurs strojów.** Jak zwykle feeria różności. Sklonowana Leia (uroczy pomysł i wykonanie) wydawała się pewnym zwycięzcą (dziecięcy „samograj”) – jednak walcząca Ripley w wykonaniu Foki zgarnęła zastużoną laury (to przebranie po prostu wymiałało!).

Więcej relacji znajdziecie – nie wątpię w to – w numerze następnym.

URODZINY

Kochani styczniowi Urodzeńcy!

Ponieważ Armagedon przewidziany jest dopiero
na koniec roku – możemy spokojnie życzyć
Wam wszystkiego najlepszego!

INFOredakcja

- 1 Łukasz Świat
- 2 Adam Cetnerowski
Lucyna Szmaglik
- 3 Marek Strug
- 6 Bohdan Kałużny
Witold Siekierzyński
- 9 Adam Sawicki
- 10 Jan Plata-Przechlewski
- 15 Waldemar Igielski
- 16 Radosław Łagan
- 17 Rafał Lewanczyk
- 21 Jarosław Piotrowski
Konrad Klepacki
Helena Strokowska
- 22 Marcin Grzybowski
- 25 Szymon Dudzik
- 26 Eugeniusz Dębski
- 28 Paweł Kruciński

- 29 Patricia Sørensen
- 30 Kacper Ruczyński
- 31 Agata Penkal



Drodzy Czytelnicy i Klubowicze!
Życzymy Wam fantastycznych Świąt
(z Mikołajem w kominie)
oraz całkowicie fantastycznego
Nowego Roku
(z medalem dla Polski na EURO 2012)

*Redakcja „Informatora”
i Zarząd GKF*

LISTOPADOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

Odbyło się 23 listopada 2011 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

I. SPRAWY ORGANIZACYJNE

1. Przedstawione zostało sprawozdanie nt. nowego lokalu stowarzyszenia. Omówiono potrzeby remontowe i związaną z nimi organizację pracy. Członkowie klubu wykonali znaczną część prac malarskich. Meble zostaną przywiezione do lokalu na przełomie listopada i grudnia.
2. Przedstawiono informację o przygotowaniach do uruchomienia nowej strony internetowej. Strona techniczna strony została przygotowana.
3. Omówiono możliwość zamówienia gadżetów klubowych.
4. Przedstawiono informację o złożeniu czterech wniosków o dotacje do Urzędu Miejskiego w Gdańsku – na imprezy lokalne, warsztaty literackie na poziomie podstawowym i zaawansowanym, oraz na warsztaty larpowe.
5. Omówiono aktualizację katalogu zbiorów bibliotecznych GKF i projekt przeniesienia danych do zbioru SQL.

II. SPRAWY PERSONALNE

1. Zmiany funkcyjne:

Komisja Rewizyjna wybrała na stanowisko przewodniczącego Adama Cetnerowskiego. Postanowiono zdjąć ze stanowiska szefa Działu Gier Fabularnych Łukasza Świata (5 głosów za).

2. Przyjęcie członków do GKF: Karol Wojczekowski, Marta Dyk, Wojciech Ratajski (GKF), Piotr Baranowicz (Mare Argentum).

4. Cofnięcie skreślenia: Aleksandra Niestuchowska (5 głosów za).

5. Przeniesienia: Aleksandra Niestuchowska z Angmaru do Mirrora (5 głosów za).

III. SPRAWY FINANSOWE

1. Skarbnik przedstawił stan składkopłatności i konta stowarzyszenia.

V. SPRAWY KOMISJI REWIZYJNEJ

1. Przewodniczący Komisji poinformował o pracach kontrolnych w Dziale Kolportażu.

2. Komisja przeprowadziła kontrolę Działu Bibliotecznego. Nie znaleziono ośmiu pozycji. Komisja złożyła wniosek o spisanie pozycji ze stanu. Wniosek przegłosowano (5 głosów za).

3. Przeprowadzono kontrolę Działu Gier Planszowych. Stwierdzono brak gry „Blood Ball”. Komisja zaleciła uzupełnienie wykazów ukompletowania gier, zdjęcie ze stanu gry „Dungeaons & Dragons – The Goblin’s Lair”, gry „Blood Bowl” i gry „Neuroshima Hex” (stanowiącej własność prywatną). Wniosek przegłosowano (5 głosów za).

4. Komisja przeprowadziła kontrolę Działu Gier Strategicznych. M.in. Komisja zasugerowała zewidencjonowanie terenów.

5. Komisja przeprowadziła kontrolę materiałów trwałego użytku.

6. Komisja poinformowała, że w grudniu odbędą się kontrole sekcji komiksowej Działu Bibliotecznego i Działu Gier Fabularnych.

VI. IMPREZY

1. Omówiono przygotowania do Nordconu 2011.

2. Podsumowano cykl imprez lokalnych „Jeep Night”.

3. Omówiono przygotowania do warsztatów translatorskich na Uniwersytecie Gdańskim. Gośćmi warsztatów są Piotr W. Cholewa i Jakub Ćwiek. Warsztaty odbędą się 21 kwietnia 2012 r.

4. Omówiono propozycję organizacji imprezy karnawałowej dla dzieci członków klubu.

5. Omówiono przygotowania do obchodów 25-lecia stowarzyszenia.

SŁOWO OD KOORDYNATORA

25. KONWENT POLSKICH KLUBÓW FANTASTYKI



przeszedł do historii!
Prawie rok poczekamy na
konwent NORDCON 2012.

Nordcony mają to do siebie, że są dobre lub bardzo dobre. W moim subiektywnym przekonaniu NORDCON 2011 plasuje się gdzieś między tymi dwoma ocenami.

Nie było łatwo... Prawo Murphy'ego zadziało już na kilka dni przed Nordconem, kiedy to wichura zwała z dachu budynku A (segment ALFA habitatu) potężny wywietrznik (może ktoś kojarzy – leżał na prawo od wejścia), rozrywając dach na powierzchni kilkunastu m². Obsługa techniczna Primavera prowizorycznie dach załatała, ale jeszcze we wtorek woda ściekała do podstawionych wiader i misek. Przez cały czas konwentu Murphy działał ze zmiennym natężeniem (ogrzewanie w pokojach, awarie kanalizacji, etc.), ale większości z tego nie zauważyliście (prócz bezpośrednio zainteresowanych).

Znakomita większość punktów programu została zrealizowana we właściwy sposób – prócz spotkania autorskiego Roberta Szmidta (który wyjechał dwie godziny wcześniej) oraz happeningu na Uroczystym Otwarciu (kiedy to kilkunastoosobowa grupa [w tym, co stwierdzam z żalem, członkowie GKF] swoimi rykami „Ssij, ssij” zagłuszyła dialog prowadzony przez dowódców obu grup zamachowców).

Chciałbym podziękować:

- uczestnikom – za entuzjastyczny współdział w przeprowadzeniu 25. Nordconu;
- Tandi – za użyczenie głosu Sztucznej Inteligencji habitatu;
- Gościom Nordconu, prelegentom, realizatorom konkursów, zespołowi tanecznemu Sunanda i wszystkim, którzy współtworzyli program;
- Bazylkom – za wspaniałe rysunki Gwiezdných Wrót, które wielokrotnie wykorzystaliśmy na Nordconie;
- grupie organizatorów (z nielicznymi wyjątkami);
- dyrekcji i pracownikom Primavera Conference & SPA.

Chciałbym przeprosić:

- ogół uczestników – za Dudę;
- Magdalenę Paulinę i Kamila Bazyluków – za niezamieszczenie ich w stopce Informatora Nordconu, jako autorów grafik. Cóż, skleroza nie boli;
- kilkunastu niepalących uczestników (nie tolerujących dymu tytoniowego) – za dym tytoniowy w budynku B i w Piekło podczas Piżam Party;
- uczestników palących – za utrudnienia w kultywowaniu nałogu;
- wszystkich, którzy próbowali prowadzić ze mną miłą konwersację i rozczarowali się. Stan napięcia spowodowany realizacją Nordconu oraz zmęczenie materiału spowodowały słumienie mej wrodzonej błyskotliwości.

Przy okazji chcę odpowiedzieć na jedno pytanie, które w sobotę zadawano mi najczęściej: „Papier, dlaczego jeszcze jesteś w stanie mówić?” Była to zasługa mojej żony Ani, która co kilka godzin z okrzykiem „Papier, ssij!”, podawała mi pigułkę do ssania.

Krzysztof „Papier” Papierkowski

Warsztaty literackie w "Maciusiu"

W połowie października uruchomiona została nowa inicjatywa GKF-u – warsztaty literackie dla młodzieży szkolnej. Projekt, wymyślony przez prezesa Yogę, otrzymał dofinansowanie Miasta Gdańska. Udało nam się przekonać komisję konkursową, że edukacja szkolna nie ćwiczy umiejętności pisania prozy, w związku z czym młodzi ludzie zainteresowani budowaniem umiejętności literackich skazani są na samodzielne ćwiczenia metodą prób i błędów. Założeniem warsztatów organizowanych przez GKF było udzielenie profesjonalnego wsparcia w budowaniu podstaw warsztatu pisarza.

Bezpośrednia promocja warsztatów polegała na wydruku i rozwieszaniu plakatów w szkołach Wrzeszcza, Zaspy i Przymorza. Wykorzystano również „pocztę pantoflową”, tj. znajomych i ich dzieci, dzięki którym o projekcie można było się dowiedzieć także w innych szkołach. Ponadto rozesłano prośbę o rozwieszenie plakatów informacyjnych do gdańskich bibliotek publicznych. Udział był całkowicie bezpłatny. O przyjęciu decydowała kolejność zgłoszeń. Zainteresowanie przekroczyło nasze najśmielsze oczekiwania – w ciągu zaledwie kilku dni od rozwieszenia plakatów mieliśmy już komplet dwudziestu uczestników.

Szkolenie prowadziła Magda Kaczmarczyk, zaprzyjaźniona z GKF-em, zawodowo nauczycielka w szkole społecznej, a prywatnie miłośniczka Tolkiena i organizatorka klubu literackiego dla gimnazjalistów. Magda zapaliła się do pomysłu, starannie przygotowała konspekty i zrealizowała zajęcia, wkładając w nie mnóstwo serca, czasu i zaangażowania. W jednej z sesji, o nazwie „spotkanie z mistrzem”, wzięła udział Ewa Białołęcka, prezentując zagadnienia warsztatowe z punktu widzenia doświadczonego pisarza.

Szkolenie zorganizowano przy wsparciu klubu „Maciuś I”, który udostępnił sale na aż dwadzieścia pięć godzin zajęć. Warsztaty obejmowały pięć sesji. Na każdej z nich uczestnicy poznawali wyodrębniony temat z zakresu warsztatu pisarza – w części teoretycznej – oraz brali udział w ćwiczeniach – w części praktycznej. Następnie ich zadaniem było przygotowanie w domu krótkiej pracy z wykorzystaniem wiedzy wyniesionej ze spotkania (np. zaprojektowanie postaci). Powstające w ten sposób „wprawki” miały być podstawą do napisania krótkiego opowiadania. Limit objętości (ok. 5 stron) miał uczynić zwięzłości i treściwości.

Szczegółowa tematyka sesji obejmowała:

- ćwiczenie warsztatu literackiego: konstrukcja postaci, archetypy, konwencje i gatunki literackie, budowa świata przedstawionego, topoty literackie, artefakty, planowanie fabuły, strategie narracyjne, unikanie typowych błędów;
- spotkanie z mistrzem: dyskusja o warsztacie pisarskim, pułapkach, w które wpadają debiutanci, relacjach z wydawcami;
- rolę krytyka: wspólna analiza stworzonych opowiadań.

Część warsztatowa projektu zakończyła się 3 grudnia. Spośród dwudziestu uczestników dwunastu dotrwało do końca, co z uwagi na młody wiek (uczniowie gimnazjów i szkół średnich) należy uznać za dobry wynik. Obecnie trwają prace nad finalizowaniem opowiadań przez uczestników oraz ich redakcją i korektą. Gotowe teksty zostaną opublikowane w styczniu 2012 r. w specjalnym, literackim numerze „Informatora GKF”.

Pierwsze warsztaty literackie były eksperymentem – nie mieliśmy pewności, czy taka formuła znajdzie odbiorców. Dziś wiemy już, że istnieje na nią znaczne zapotrzebowanie, a projekt zapełnia autentyczną lukę na rynku. Dlatego w przyszłym roku, o ile Urząd Miasta zechce nas ponownie wesprzeć, zorganizujemy dwie sesje warsztatów: podstawową na jesieni oraz zaawansowaną (skupioną na ćwiczeniach pisania *sensu stricto*) na wiosnę. Kilkoro uczestników już zadeklarowało udział w części zaawansowanej.

Michał Szklarski

LARPOWISKO

Lata dwudzieste, lata trzydzieste....

Rzuć, bracie, blage i chodź na Pragę! Weź grube lage, melonik tyż...

Biedny ekules z warszawskiej Pragi roku 1933, zgromadzeni w celach birbancko-facecyjnych, znaleźli schronienie w gościnnym domu Jerzego. Tu pozwolę sobie nieco obszerniej nakreślić skład osobowy, z przyczyn dwojakich. Po pierwsze – KL MA stanął w większości (o, ukochany Angmarze, jakże miło marzyć!); po wtóre – doszło do symbolicznego powrotu do fantastycznego nałogu równie fantastycznej (z braku mniej kazirodczego określenia) córki marnotrawnej. Niżej podpisany ze szczególną lubością wita Enid w Trójmieście po sześciu latach przerwy, mając nadzieję na Jej rychły akces do Klubu.

Na spotkaniu nie zabrakło też sympatyków Mare Argentum, częstokroć nie mniej od jego członków zaangażowanych w związane z erpegami inicjatywy.

Nader miła atmosfera, podbudowana kolejną miesięcznicą istnienia Mare Argentum, dość szybko przeniosła zgromadzonych w świat „a grając wiedzminem”, objazdem przez „co by tu fajnego zorganizować”. Stroje zgromadzonych oraz muzyka nawiązywały do warszawskiej ulicy dwudziestolecia.

Przy okazji, zda się, ustalono kilka kwestii technicznych. Ale że to wewnętrzne sprawy KL MA – tu opisane nie zostaną. Żyjmy w nieświadomości oczekując na efekty, jak powiadają ginekolodzy.

Gdy pękła nie-pomnę-która butelka szampana, stało się jasnym, że ci, którzy nie odpłynęli w niebyt, w pełni przeniosą się do Warszawy A.D. 1933 (rymskimi wyglądała ta liczba nieprzyzwoicie długo). Rozdano role na larpa, za którego popełnienie odpowiedzialny jest niżej podpisany.



*When shall we three meet again?
In thunder, lightning, or in rain?*



Dr Archibald instruowany

Gang Spiętego kontrolował dzielnicę, jednak nie mógł uspokoić matecznika – pewnych trudności nastroczały napięte stosunki rodzinne. Córka Szefa Szefów, Małgosia Spiętnicka (w tej roli znakomita Enid), znalazła pomoc u swego narzeczonego – syna szwajcarskiego dyplomaty. Z jakim skutkiem? Jak powiedział Kwinto w znakomitym „Vabanku” – trzeba było uważać.

Jak zwykle, nie zbrakło mistyków, mesmerystów, a nawet (choć to nieprzyzwoite) tajnej policji.

Szczególne brawa dla sabatu czarownic spod znaku Wielkiej Łoży (Lola, Gosia, Stefa – piękny przykład zabawy odgrywanym) oraz Mistrza z Wiednia (Dimzard jako diabeł z kapelusza).

Gra zakończyła się (z przeszło trzygodzinnym opóźnieniem, gdyż „reżyser, nie przeszkadzaj, dopiero rozkręcam ten wątek”) gremialnym poszukiwaniem sposobu na zmianę tożsamości oraz brawurową ucieczką z torbą pełną pieniędzy. Były łzy, miłość, zdrada i Ford A przewiązany wstążką. I (jeśli mnie pamięć nie myli) jeszcze więcej szampana.

Koniec i bomba (właściwie dynamit), a kto nie był, ten trąba. W nieprzyzwoitym gościu uniesiona na szczęście.

Shaman



Nie masz cwaniaka nad Stasia Grzesiuka

Teatr Bardzo Żywy

24.11 odbyła się druga już edycja Teatru Bardzo Żywego, zwanego też wieczorem improwizacji (a zarazem trzecie spotkanie warsztatowe larpowców skupionych wokół KL Mare Argentum). Uczestnicy zebrali się wieczorem w mieszkaniu Roberta „Dimzarda” Bujniewskiego. Zainteresowanie było spore – przybyło aż 10 osób (co przy jednodniowym wyprzedzeniu w ustaleniu terminu i miejsca spotkania gremialnie uznano za sukces). Całe warsztaty ponownie poprowadził Krzysztof „Shaman” Chmielewski. Rozpoczęto od prostych ćwiczeń rozciągających, trochę trudniejszych na równowagę, po czym ćwiczono zdolność ekspresji poprzez scenki rodzajowe przy użyciu wymyślonego języka. Gdy już wszyscy byli rozgrzani i przygotowani, rozpoczęto ćwiczenia w parach. Chodziło o poważną rozmowę, największym utrudnieniem było tu całkowite wyłączenie języka, można było jedynie gestykulować i mimiką wyrażać emocje. Po tym ćwiczeniu nastąpiła przerwa i przygotowanie do finalnego ćwiczenia w dwóch grupach, mających symulować rodziny w określonej sytuacji kryzysowej. Pierwsza grupa zaprezentowała problemy wewnątrzrodzinne w temacie dość odważnym, traktującym kwestie molestowania córki. Scenka wyszła bardzo ciekawie, a aktorzy wykazali się dużą dozą twórczej inwencji. Druga grupa w poważny sposób przedstawiła problem „deficytu surowca” – w tym wypadku chodziło o rodzinę potężnych magów i czarną dziurę w ich kuchni, którą zamknąć można było tylko dzięki krwi (sic!). Całość zakończyła się późną porą w swobodnej atmosferze rozmowami o odbytych ćwiczeniach.

Moim skromnym zdaniem zajęcia były prowadzone w interesujący i zabawny sposób, polecam je szczególnie tym, którzy chcieliby nauczyć się czegoś nowego oraz podszkolić swój warsztat aktorski.

Dimzard

ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

Wstępnie w styczniu 2012

KSIĘGA DAJI (DAJA'S BOOK) – TAMORA PIERCE

Wydawca: Initium Data wydania: 9 stycznia 2012

DZIECI DEMONÓW (NEVER KNEW ANOTHER) – J.M. MCDERMOTT

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: 17 stycznia 2012

WIR (VORTEX) – TROY DENNING

Wydawca: Amber. Data wydania: 17 stycznia 2012

WWW: PRZEBUDZENIE (WWW: WAKE) – ROBERT J. SAWYER

Wydawca: Solaris. Data wydania: 17 stycznia 2012

JEZIORO ŁEZ (THE LAKE OF TEARS) – EMILY RODDA

Wydawca: Egmont. Data wydania: 23 stycznia 2012

MIASTO SZCZURÓW (CITY OF THE RATS) – EMILY RODDA

Wydawca: Egmont. Data wydania: 23 stycznia 2012

PUSZCZE MILCZENIA (THE FORESTS OF SILENCE) – EMILY RODDA

Wydawca: Egmont. Data wydania: 23 stycznia 2012

ŚWIT ZMIERZCHU (TWILIGHT'S DAWN) – ANNE BISHOP

Wydawca: Initium. Data wydania: 24 stycznia 2012

SYN NEPTUNA (THE SON OF NEPTUNE) – RICK RIORDAN

Wydawca: Galeria Książki. Data wydania: 25 stycznia 2012

ACHAJA. TOM III – ANDRZEJ ZIEMIANSKI

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 27 stycznia 2012. Wznowienie

MIASTECZKO NONSTEAD – MARCIN MORTKA

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 27 stycznia 2012

RAKIETOWE SZLAKI. TOM 4

Wydawca: Solaris Data wydania: 31 stycznia 2012

CESARZ NIHON-JA (THE EMPEROR OF NIHON-JA) – JOHN FLANAGAN

Wydawca: Jaguar. Data wydania: styczeń 2012

DZIEDZICTWO. TOM 2 (INHERITANCE) – CHRISTOPHER PAOLINI

Wydawca: MAG. Data wydania: styczeń 2012

MROczNA OSTOJA (DARK HAVEN) – GAIL Z. MARTIN

Wydawca: Dwójka Bez Sternika. Data wydania: styczeń 2012

SMOK GRIAULE (THE MAN WHO PAINTED THE DRAGON GRIAULE. THE SCALEHUNTER'S BEAUTIFUL DAUGHTER. THE FATHER OF STONES. LIAR'S HOUSE. THE TABORIN SCALE) – LUCIUS SHEPARD

Wydawca: MAG. Data wydania: styczeń 2012

STOP PRAWA (THE ALLOY OF LAW) – BRANDON SANDERSON

Wydawca: MAG. Data wydania: styczeń 2012

STRACH MĘDRCA. CZĘŚĆ II (DAY TWO: THE WISE MAN'S FEAR) – PATRICK ROTHFUSS

Wydawca: Rebis. Data wydania: styczeń 2012

ŚPIĄCA KRÓLEWNA. PIEPRZONY LOS KATARYNIARZA – RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: styczeń 2012

ŚWIAT BEZ GRANIC – TOMASZ KOPECKI

Wydawca: Zysk i S-ka. Data wydania: styczeń 2012

ZEMSTA NAJLEPIEJ SMAKUJE NA ZIMNO (BEST SERVED COLD) – JOE ABERCROMBIE

Wydawca: MAG. Data wydania: styczeń 2012

KRÓLESTWO SŁOŃCA. KSIĘGA 1, CZĘŚĆ 1 (IN THE COURTS OF THE SUN) – BRIAN D'AMATO

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: styczeń 2012

KRÓLESTWO SŁOŃCA. KSIĘGA 1, CZĘŚĆ 2 (IN THE COURTS OF THE SUN) – BRIAN D'AMATO

Wydawca: Fabryka Słów Data wydania: styczeń 2012



NIUSY

LEM UCZCZONY W GOOGLE

23 listopada logo polskiej wersji wyszukiwarki Google przybrało postać animowanej grafiki w stylu klasycznych ilustracji Daniela Mroza; okazją była sześćdziesiąta rocznica wydania pierwszej publikacji książkowej Stanisława Lema.

jpp



EKSPERYMENTY MARSJAŃSKIE – KONIEC, AWARIA I POCZĄTEK

Sześciu śmiazków zakończyło trwający ponad pięćset dni pobyt w absolutnym zamknięciu. W bazie pod Moskwą żyli bowiem tak, jak gdyby wystrzelono ich w Kosmos. Natomiast awarię na orbicie okołoziemskiej skończyła się (?) misja rosyjskiej sondy Fobos-Grunt. Z kolei NASA wysłała w kierunku Czerwonej Planety kolejny łazik. Nosi on imię Curiosity („ciekawość”), zaś do celu ma dotrzeć w sierpniu przyszłego roku.

jpp



LISTOPAD POD ZNAKIEM ROKU PIERWSZEJ POLSKIEJ NOBLISTKI

Światową prapremierę (w Paryżu) i polską premierę (w Gdańsku) miała opera Elżbiety Sikory (muzyka) i Agaty Miklaszewskiej (libretto) *Madame Curie*, napisana na zamówienie Opery Bałtyckiej; z kolei NBP wypuścił okolicznościowy banknot 20-złotowy z wizerunkiem uczoney (zresztą pierwszym banknotem ze Skłodowską-Curie było PRL-owskie 20000 zł, w początkach galopującej inflacji).

jpp

NOWY KRÓL ARTUR

Kit Harington, znany lepiej jako Jon Snow z serialu *Gra o Tron*, ma wcielić się w rolę samego króla Artura w nadchodzącym filmie Davida Dobkina *Artur i Lancelot*.

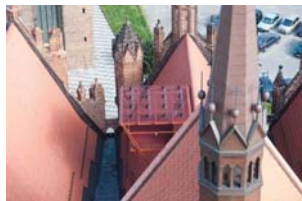
wg: www.gildia.pl

WYBITNY TWÓRCA ZAFASCYNOWANY 3D

Najnowszy film Martina Scorsese, *Hugo i jego wynalazek*, został zrealizowany właśnie w tej technice. Reżyser stwierdził, iż odtąd będzie kręcił wyłącznie trójwymiarowe obrazy; wyraził wręcz żal, iż nie dysponował tym środkiem wyrazu już wcześniej, np. podczas pracy nad *Taksówkarzem*.

wg: www.emetro.pl

OFICJALNIE RUSZYŁ W OSTATNI PIĄTEK LIŚTOPADA



Pierwszy na świecie zegar odmierzający czas na podstawie sygnałów z pulsarów, stukrotnie dokładniejszy od zegarów atomowych, działa już na poddaszu gdańskiej „Katarzynki” – dawnej fary Starego Miasta, będącej swego czasu parafialnym kościołem Jana Heweliusza.

jpp

NOWOŚCI NA PŁYTKACH

W sprzedaży dostępne są już m.in.: ostatnia część filmowego *Harry’ego Pottera* oraz drugi sezon animowanego serialu o Wojnach Klonów.

wg: www.gildia.pl

WENA JEJ NIE OPUSZCZA

W tegorocznym konkursie literackim Powiew Weny – znów w kategorii proza/dorośli zwyciężyła Lucyna Kurpiewska opowiadaniem *Pani Willmowa*. Jej wcześniejsze – też utrzymane w konwencji fantastyki grozy – utwory (*Opętanie*, *Antykwariusz*, *Abrakadabra*) zdobywały w kolejnych latach jedno II oraz dwa I miejsca; przypominamy, iż debiut tej dobrze zapowiadającej się pomorskiej pisarki opublikowaliśmy w ostatniej edycji literackiego „Informatora”.

jpp

ZŁOTE KACZKI W SALI SAMOBÓJCÓW

Obraz Jana Komasy otrzymał cztery nagrody za sezon 2010/2012 przyznawane przez czytelników magazynu „Film”.

wg: www.emetro.pl



CAMERIMAGE

Główną nagrodę międzynarodowego festiwalu otrzymała Jolanta Dylewska za zdjęcia do *W ciemności*; konkurs filmów polskich wygrał operator *Sali samobójców* Radosław Ładczuk.

jpp

OSTATNI LOT SMOCZEJ AMAZONKI



21 listopada zmarła w Irlandii (urodzona w USA w 1926 r.) irlandzka pisarka Anne Inez McCaffrey. Największą sławę zyskała dzięki cyklowi poświęconemu smokom z planety Pern i ich jeźdźcom. Pierwsza powieść z tej serii, *Jeźdźcy smoków*, przyniosła jej w 1968 r. nagrodę Hugo – i było to pierwsze wyróżnienie dla kobiety w historii tej nagrody. Jej powieść *Biały Smok* była jedną z pierwszych książek SF, która znalazła się na liście bestsellerów „New York Timesa”. W 2005 r. McCaffrey otrzymała tytuł Wielkiego Mistrza (*Grand Master*) Stowarzyszenia Amerykańskich Pisarzy SF i F, a w 2006 r. została wprowadzona do *Science Fiction Hall of Fame*.

grzeszcz

SZYŁAK W „LAMPPIE”

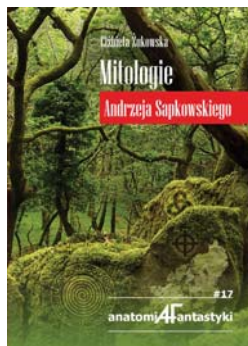
W listopadowym numerze „Lampy” ukazał się wywiad Przemysława Zawrotnego z Jerzym Szyłakiem, zatytułowany „Czy tęsknię do opowieści seryjnej?”.

wg: www.komiks.nast.pl

„ANATOMIE FANTASTYKI” PRĄ JAK BURZA

Siedemnasta, poświęcona Andrzejowi Sapkowskiemu, sprzedaje się bardzo dobrze; dotarła też do nas informacja o spotkaniu autorki z czytelnikami w jednej z gdyńskich księgarni. Wydrukowana jest już również najnowsza, osiemnasta, o Adamie Wiśniewskim-Snergu; nie wątpimy, że spotka się ona z równym zainteresowaniem czytelników i badaczy.

red.



ZIEMIA 2.0

Oficjalną nazwą planety to Kepler 22-b. Oddalona od Ziemi o 600 lat świetlnych; większa od niej prawie dwuipółkrotnie; rok trwa 290 naszych dni; cecha najważniejsza: temperatura wynosi 22 stopnie Celsjusza – co oznacza, że może znajdować się na niej płynna woda. Na razie nie wiadomo jednak, czy planeta składa się w większości ze skał, cieczy czy gazów. Jej istnienie potwierdzono podczas konferencji NASA w Moffett Field (Kalifornia).

wg: www.wp.pl

POSZUKIWACZE BOSKIEJ CZĄSTKI

Wygłada na to, że hipotetyczna jak dotąd (ale jednocześnie absolutnie podstawowa dla naszego rozumienia materii i wszechświata) cząstka Higgsa istnieje – ogłosiła 13 grudnia Europejska Organizacja Badań Jądrowych (CERN). Zaobserwowano budzące nadzieję ślady cząstek, jednak rozpad następuje zbyt szybko. Ostateczne ostrzygnięcie wymaga dalszych badań i analiz. Możliwe, że Model Standardowy uda się potwierdzić w 2012 roku. Byłaby to wielka sensacja naukowa, o trudnych do przecenienia konsekwencjach praktycznych. A na pewno zwróciłyby się inwestycja w Wielki Zderzacz Hadronów (LHC).

jpp

RYWALE AMERYKAŃSKIEGO GPS

Rosjanie zakończyli budowę systemu nawigacji satelitarnej Glonass. Mimo rocznego opóźnienia, spowodowanego głównie awariami rosyjskich rakiet kosmicznych, wyprzedzili Unię Europejską – której system Galileo powstaje z sześciolatnim poślizgiem (dopiero tej jesieni wystrzelono na orbitę dwie pierwsze robocze satelity).

jpp



PLANETOIDY HEWELIUSZA

W ostatnią niedzielę listopada nastąpiło symboliczne odsłonięcie, wyłonionej w konkursie Fundacji Wspólnota Gdańska, formy przestrzennej autorstwa Sebastiana Warszawy pn. Planetoidy Heweliusza. Została ona zainstalowana na promenadzie prowadzącej do moła na gdańskiej Zaspie – i nawiązuje do Roku Jana Heweliusza oraz faktu, że trzy rzeczywiste planetoidy zostały swego czasu nazwane na cześć astronoma (5703 HEVELIUS), jego żony i współpracownicy (12625 KOOPMAN) oraz rodzinnego miasta (764 GEDANIA).

jpp

SUPERMIKROSKOP

Na Wydziale Chemii Politechniki Gdańskiej zostało otwarte nowoczesne laboratorium mikroskopii elektronowej – sfinansowane ze środków Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Jego dumą jest mikroskop soczewkowy najnowszej generacji, dzięki któremu można obserwować obiekty nanowymiarowe oraz sieci atomowe. Atutem urządzenia jest też krótki czas uzyskiwania maksymalnych powiększeń: dwie minuty (gdy przeciętna zdolność tego typu urządzeń wynosi od pół godziny do dwóch godzin).

jpp



KOLEJNY BĘDZIE MASTODONT?

Rosyjscy i japońscy naukowcy chcą sklonować mamuta. Planują dokonać tego z wykorzystaniem komórek jajowych słońia oraz materiału genetycznego pobranego ze szpiku z kości znalezionych w syberyjskiej wiecznej zmarzlinie.

wg: www.emetro.pl

DWA WŚRÓD DZIESIĘCIU

Paths of Hate i *Zaczarowany fortepian* znalazły się na tzw. krótkiej liście oscarowej w kategorii animowany film krótkometrażowy. Nominowanych poznamy 24 stycznia.

wg: www.emetro.pl

ANIMATION NOW!

Tak zatytułowany festiwal filmów animowanych odbywał w grudniu w różnych punktach Trójmiasta. Złożyły się nań: projekcje, warsztaty, performance. Wśród filmów zostały wyświetlone m.in. *Wall-E* oraz *Koralina i tajemnicze drzwi*.

jpp

PONAD DWIE BAŃKI

Padł kolejny komiksowy rekord: za pierwszy numer „Action Comics” z czerwca 1938 r., w którym po raz pierwszy pojawił się Superman, zapłacono aż 2,16 miliona dolarów. W 2010 r. kilkukrotnie licytowano zawrotne sumy za pierwsze komiksy z Supermanem i Batmanem oraz Spider-Manem. Teraz jednak po raz pierwszy w historii została złamana bariera dwóch milionów dolarów. Według BBC niektórzy inwestorzy widzą w czasach kryzysu pewniejszą lokatę kapitału w przedmiotach kolekcjonerskich niż nieruchomościach czy akcjach.

wg: www.komiks.nast.pl

ALBUM POWYSTAWOWY

Trwa druk albumu komiksowego opowiadającego o komiksie w PRL-u (i PRL-u w komiksie) – zawierającego materiały z wystawy opracowanej przez rzeszowski oddział IPN. Prezentowała ona wybór komiksów od socrealizmu po underground (w tym *Wampirus Wars*).

red.

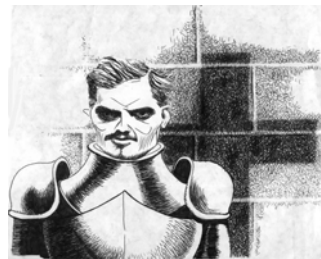
NADCHODZĄ KOLEJNE SEQUELE

To m.in. trzeci *Faceci w czerni*, trzeci *Madagaskar*, trzeci *Mroczny Rycerz*, czwarty *Park Jurajski*, piąty *Indiana Jones*. Prace nad częścią z nich kończą się lub są mocno zaawansowane – inne są dopiero w fazie projektów (w tradycyjnym, nie-anglosaskim znaczeniu tego słowa).

jpp

Okruchy Ogana

Korespondencja nr 26



W sprawie Niepodległej

Redaktorzy „Informatora” parokrotnie mnie prosili, bym powściągał swoje komentarze na aktualne polityczne tematy. Ale są pewne sytuacje, w których nie sposób milczeć, a wydarzenia 11.11.11 z pewnością do takich należą. Dodatkowo zaś poruszył mnie złośliwy komentarz Andrzeja Kowalskiego w jego 60. Zapiskach Zgrzybliwego Tetryka (do przeczytania na stronie ŚKF). Skoro więc nestorowi polskiego fandomu oraz najważniejszemu Tolkienście w Polsce wolno się trochę ponatrzącać z politycznych przeciwników – to i ja tu ździebko poharcuję, żeby zadbać o jakąś równowagę.

Na początek krótko o tym, co wysmażył Bilbo Brandybuck (nie pierwszy zresztą już raz w tym roku). Otóż po pierwsze: dystansuje się do współczesnej produkcji swoich ulubionych autorów sprzed roku 1989 (Łysiaka, Wolskiego i Ziembkiewicza), którzy po tej cezurze przeszli na nielubianą przez niego prawą stronę sceny politycznej. Po drugie: wydziwia nad nową książką Wolskiego; a na koniec orzeka, że jej słabość jest związana z prawicowością autora. Co prawda obiecuje, że zapozna się z nowymi dziełami pozostałej dwójki twórców, ale zanim to zrobi, już rzuca wiele mówiące: *Widocznie ta prawa strona tak już ma*. Prorok jaki, czy co?

A przecież powodów kiepskiej formy Wolskiego może być więcej niż płynące wyłącznie z jego ideologicznego zafiksowania... Może po prostu wiek już nie ten? A może wydawanie kilku powieści rocznie to za wiele nawet dla kogoś tak błyskotliwego jak on? I wreszcie: czy gdyby przeszedł na lewą stronę – jego dzieła wciąż kipiałyby od nadmiaru wigoru, dystynkcji, subtelności i lekkości (chyba że Kowalski zakłada, iż każdy lewicowy utwór z miejsca bije na głowę dowolne prawicowe arcydzieło). Są przecież przykłady lewicowców (również takich, którzy przeszli na tamtą stronę z prawicy),

którzy chamieją tym bardziej, im wcześniej mocniej z nami wierzyli (Cezary Michalski, Palikot). Jaki jest związek między czymś wyborem politycznym a jakością jego twórczości – dalibóg nie pojmuję? Przecież co do Tolkiena, a zwłaszcza Lewisa (w myśl współczesnych standardów jak najbardziej katolskich i prawicowych pałkarzy) Kowalski takich zarzutów nie wysuwa. Dlaczego zatem własne gniazdo kłosa? Nie wiem i nie rozumiem. Ale nigdy nie byłem biegły w marksistowskiej dialektyce (i jej współczesnej postaci – logice wielowartościowej).

Kończąc zatem ten wątek, upraszam Bilba na przyszłość, żeby – jeśli ma żal do autora za sknocony tekst – adresował pretensje wyłącznie do niego, a nie zapisywał je na rachunek jakichś bliżej niedookreślonych politycznych koneksji twórcy. I tak samo w moim wypadku: jeśli bredzę, to dlatego że intelektem adwersarzowi nie dorastam, a nie dlatego, że bliższa mi strona sceny politycznej po prostu *tak już ma*.

Wracając teraz do meritum: warszawskie burdy z 11.11.11 zostały z oczywistą oczywistością sprowokowane przez najświatlejszą część lewicy, jej intelektualną szpicę skupioną w P11L oraz jej błyskotliwy pomysł, aby sprowadzić nad Wisłę – w celu uczenia Polaków tolerancji, otwartości i tęczowatości – niemieckich antyfaszystów. Wielki poeta lewicy XX wieku (pozytywna postać *Burzy...* Parowskiego) napisał: *Są w ojczyźnie rachunki krzywd / Obca dłoń ich też nie przekreśli*. Jak nisko upadli dziś jego ideologiczni wnukowie, żeby swoje porachunki załatwiać obcymi rękoma? I jak, będąc uczciwym Polakiem (tylko że z sercem po lewej stronie), można dzisiaj nie płonąć ze wstydu po tym incydencie? Kim trzeba być, by się czegoś takiego dopuścić? I czy czyn taki nie nosi znamion „zdrady głównej”?

Idąc dalej: jak to możliwe, żeby na trasie marszu pozwolono na organizację konkurencyjnej imprezy, o której wiadomo było, że nie jest pokojowa. Dlaczego policja była zajęta głównie ochranianiem tych, którzy Marsz Niepodległości postanowili zablokować – zaś samego Marszu, kiedy ten wyruszył alternatywną drogą i w spokoju dotarł do celu, nie ochraniał prawie żaden funkcjonariusz? I najważniejsze: czy którakolwiek prorządowa telewizja pokazała choćby migawkę z tego wydarzenia, a brało w nim udział około 20 tysięcy ludzi! W zamian za to oglądaliśmy w upiornym zapętleniu kilkanaście scen walk, jakie toczyli z policjantami licznie przybyli na ustawkę chuligani (jak się to ich teraz modnie określa – *pseudokibole*). Czy mieli oni cokolwiek wspólnego z Marszem (kiedy pochód ruszył, oni nadal się tłukli z policją), a zwłaszcza z osławionymi faszystami? Tego nie wiem, ale fakty (obiektywne, a nie TVN-u) temu przeczą.

Poza tym – nie ma zgody na proceder (iście stalinowski) nazywania faszystami wszystkich, którzy nie zgadzają się z aberracjami lewicy, a zwłaszcza tych, którzy odwołują się do patriotyzmu (na tej samej przeciwieź zasadzie faszystami określano m.in. powstańców warszawskich, żołnierzy AK i NSZ oraz niepodległościowego podziemia z czasów po II WŚ).

Ucieczka z kina „Miraż”

W VI tomie cyklu „Zwrotnice czasu. Historie alternatywne” Narodowego Centrum Kultury ukazała się powieść Zbigniewa Wojnarowskiego *Miraż*. Napisałem „powieść” i tego się będę trzymał, chociaż ta klasyfikacja gatunkowa nie do końca jest oczywista. Na pierwszy rzut oka książka jest zbiorem sześciu noweli. Ale ponieważ każda historia jakoś się z poprzednią łączy i z nią przenika, a dodatkowo wynika ze szkatułkowej konstrukcji fabuły (opowieści w opowieści) i prowadzi do jednego rozwiązania – żeby już nie mnożyć bytów ponad miarę, pozostaną przy tym genologicznym oznaczeniu. Zresztą w samym tekście pojawia się nawiązanie do najbardziej znanej polskiej (choć nie po polsku napisanej) powieści szkatułkowej *Rękopisu znalezionego w Saragossie*, co tym bardziej upoważnia do takiego zaszufładowania książki Wojnarowskiego.

Reasumując: jeśli polska lewica nadal będzie się tak bawiła, jak z okazji 11.11.11, zawsze będzie miała we mnie wroga. Bo chociaż, jak pisał Herbert, *będziemy zbawieni pojedynczo*, to przecież nieprzypadkowo rodzimy się w konkretnej wspólnocie (rodzinie, parafii, wreszcie narodzie); zgadzam się z tezą Wildsteina, że naród to największa wspólnota, z jaką może się utożsamić człowiek – i żadna europejskość czy bliżej nieokreślona ludzkość nie jest w stanie wywołać w nim żywszego bicia serca. To nas do czegoś zobowiązuje, nawet jeśli nie do umiłowania ojczyzny, to przynajmniej do lojalności w stosunku do niej. A sprowadzanie zagranicznych chuliganów, którzy zablokowali paradę Wojska Polskiego i dodatkowo atakowali Polaków z Grup Rekonstrukcyjnych czy noszących biało-czerwone flagi, jest przejawem całkowitego zdziczenia i (odważę się to napisać!) samowyluczenia ze wspólnoty narodu. Komu do takiej lewicy jest blisko – do tego mnie będzie z całą pewnością daleko.

A sprawę lewicowej wrażliwości i związanych z nią niekonsekwencji (np. wybieranie się na manifestację Oburzonych jaguarem przez znanego postać lewicy) tym razem sobie daruję, bo strasznie mi ten wątek spuchł...

Innym problem jest ustalenie przynależności tego tekstu do konkretnej odmiany tematycznej. Na pierwszy rzut oka mamy do czynienia z horrorem metafizycznym. Ale im dalej w las, tym coraz więcej tropów prowadzi w kierunku fantastyki naukowej (historii alternatywnej). Wiem, że współcześnie takimi problemami nie zajmuje się już żaden rozsądny krytyk, ale tkwią we mnie ciągle przyzwyczajenia starej szkoły filologicznej i podświadomie zawsze staram się taką klasyfikację przeprowadzić. Wobec powyższych wątpliwości najwygodniej byłoby więc pozostać na stwierdzeniu, że mamy do czynienia z fantastyką (Amerykanie zapewne powiedzieliby, że z *fantasy*) i nie łać sobie dłużej na tej kwestii zębów.

Powieściowe wątki rodem z horroru związane są z tytułowym kinem „Miraż”, które

miało opinię nawiedzonego (żona pierwszego właściciela tej placówki popełniła w nim wymyślne samobójstwo na wieść o śmierci Rudolfa Valentino). Stary bileter Gaibel, jeden z dwóch narratorów tej opowieści, jest święcie przekonany, że za tą tragedią stała sztuka filmowa. Nieprzypadkowo przecież – jego zdaniem – w klasycznych projektorach kinowych zamontowany jest... krzyż (ma on podczas przesuwu taśmy zakrywać miejsca styku poszczególnych kadrów filmowej kopii); sam zaś film (ruchome obrazy) były przez pierwszych widzów traktowane jak dzieło szatana. Dlatego też budynek kina staje się miejscem, w którym dochodzi, według biletera, do spektakularnych manifestacji sił zła, deformujących losy wielu widzów. Gaibel, stojąc nad grobem, o kilku takich przypadkach opowiada głównemu bohaterowi – dziennikarzowi Robertowi Staniewiczowi, który przybył tam, by wypełnić ostatnią powinność wobec tragicznie zmarłej koleżanki z klasy.

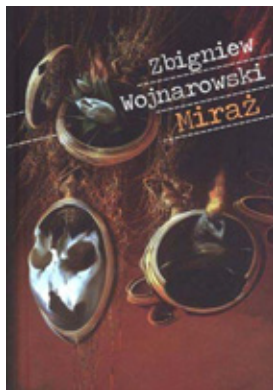
Powieść nie należy do odmiany *gore* czy *slash*, ale nie brakuje w niej trupów i opisów nagłych zgonów. Demony z kina „Miraż” towarzyszą na swój przewrotny sposób poszczególnym dekadom polskiej historii XX wieku, począwszy od kryzysu lat 30. na latach 90. skończywszy. W tym ujęciu historia Polski ujawniałaby się jako igraszka diabła i byłaby niechlą prowokacją, ocierającą się wręcz o obrazobórstwo. Ale z drugiej strony – obracamy się przecież w kręgu tematów metafizycznych – jeśli uznać (jak chcą niektórzy), że nasz kraj ma do spełnienia konkretną religijną misję (moralnej odbudowy świata), to trudno się dziwić, że jest tak potężnie przez złego kuszony.

Innym tropem interpretacyjnym – związanym zarówno z tytułem serii NCK, jak i dominującymi w powieści zabiegami fabularnymi – może być alternatywność historii. W tym ujęciu byłibyśmy obserwatorami nierównych zmagania bohaterów gawęd Gaibla – przerzuco-

nych za sprawą demona kina do odmienionych rzeczywistości – o powrót do własnego czasu. Ale kto raz dostał się do świata wyreżyserowanego przez film, ten nie może go opuścić (zupełnie inaczej niż postacie z *Purpurowej Róży* z *Kairu* czy *Ucieczki z kina „Wolność”*). Jedynym wyjściem z tego uwikłania wydaje się być śmierć.

Na czytelników powieści Wojnarowskiego czeka znacznie więcej zagadek do rozwiązania. Na przykład: kim jest Gaibel i co się z nim tak naprawdę stało (tu kolejny ukłon twórcy w kierunku jednego z najlepszych polskich filmowych horrorów); dlaczego Staniewicz znalazł się w miasteczku z zatopionym kinem; w jakim miejscu rozgrywa się cała ta opowieść (pojawia się tu tak wiele wzajemnie sprzecznych wskazówek, że znalezienie go na mapie jest chyba niemożliwe; co więcej – nawet niekonieczne). Miłośnicy poszukiwania literackich, kulturowych i historycznych odwołań znajdą w tej książce nieprzebrane bogactwo tego typu znaków, ale to jest poniekąd konsekwencja alternatywnego charakteru *Mirażu*.

Nie ma co ukrywać: podobała mi się ta powieść, a Wam również ją polecam. Ponad 500 stron napisanego świetną polszczyzną tekstu zapewni rozrywkę na co najmniej kilka długich zimowych wieczorów.



Mocny akcent na koniec roku, czyli „Czas Fantastyki” 4 (29) 2011

Ostatni tegoroczny numer kwartalnika należy z całą pewnością do udanych. Choć blisko połowę objętości zajmują w nim długie i niekoniecznie zajmujące dla każdego teksty Lewandowskiego (o związkach metafizyki

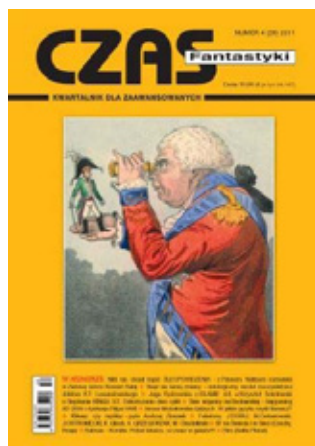
z rozwojem technologicznym) i Rydzewskiej (dokończenie cyklu o islamie) – to pozostałe materiały mają najwyższy znak jakości. Ciekawe są rozważania: Iwony Michałowskiej-Gabrych na temat strategii tłumaczenia, Andrzeja Zimniaka

nad przyszłością myślenia w epoce łatwo dostępnej (powszechnej) informacji, a także domknięcie cyklu Krzysztofa Sokołowskiego poświęconego twórczości Kinga. Wśród recenzowanych książek *Embassytown* Mieville'a (Dukaj), *Dlaczego toniemy...* Jęczyńka (Cetnarowski), *Miraż* Wojnarowskiego (Ostromęcki) oraz syberyjskie książki Ossendowskiego i Rawicza (w nawiązaniu do filmu Weira *Niepokonani*; Głuch). Arkadiusz Grzegorzak zapowiada kinowe premiery roku przyszłego z nadzieją, że wynagrodzą one nam tegoroczny post. Rzeczywiście: prequel *Obcego* (*Prometheus*) czy I część ekranizacji *Hobbita* to tytuły, które przynajmniej się dobrze zapowiadają; ale jak będzie – przekonamy się sami.

Bardzo zajmującą kwestię poruszył w felietonie o spoilerach Michał Chudoliński.

Fantastyka, upraszczając, to literatura niespodzianek – więc przedwczesne zdradzanie tego, z czym się w utworze odbiorca może spotkać, wydaje się być sporą dla tegoż odbiorcy stratą. Tymczasem okazuje się, że nie zawsze wiedza o tym, co czeka bohaterów, pozbawia radości obcowania z tekstem (powiedzmy sobie szczerze: wymyślenie dziś

oryginalnej historii to zadanie prawie niemożliwe, bo wszystko już było). Co zatem zatrzymuje czytelników przy lekturze, widzów na seansie, a słuchaczy na koncercie? To forma przekazu! Warto się więc starać, by była jak najbardziej przemyślana i atrakcyjna, gdyż nie jest ona bez znaczenia przy podejmowaniu przez odbiorcę decyzji o dalszym zgłębianiu dzieła.



Czytelnikom „Informatora GKF” życzę Zdrowych, Spokojnych i Wesołych Świąt Bożego Narodzenia oraz Wszystkiego Najlepszego w Nowym Roku.

Wasz wielkokacki korespondent

PÓŁKA Z DVD

Seksmisja po kanadyjsku



Co prawda przyrzekłem sobie, że nie będę już pisał o filmach, które przywędrowały na moją półkę z DVD z telewizji, ten jednak okazał się tak odświeżająco zabawny, że dałem za wygraną. Chodzi o komedię *Przynęty* (*Decoys*), opowiadającą o inwazji grupy ponętnych (przynętnych?) kosmitów na kanadyjski akademik.

Jak wynika z podsłuchanych rozmów: na ojczyściej planecie naszych lasów płeć męska uległa całkowitej zagładzie, a żeńskie niedobitki przeniosły się do nas. Przy tym, jako istoty zimnolubne, postawiły na Kanadę, ze szczególnym uwzględnieniem uczelni, na której co roku wybiera się Królową Śniegu (*Ice Queen*). Oczywiście ich kobiece wdzięki są jedynie perfekcyjnym kamuflażem, pod którym kryje się prawdziwa powierzcuchowość przypominająca żywo tę znaną z *Gatunku* (a więc film można uznać za parodię owej serii).

Dwaj świeżo upieczeni studenci, Luke i Roger, są uwodzeni przez sąsiadki z akademika, Lily i Constance. Luke, ukryty w pokoju dziewczyn, widzi wijące się macki jednej z nich (i, o zgrozo, brak pępka), po czym dzieli się przerażającą wiadomością z kolegą. Roger jednak ani myśli odpuścić: ma zamiar spotykać się z Constance i za nic mu wszystkie ostrzeżenia. Zresztą Luke też mięknie na widok Lily,

aczkolwiek bynajmniej nie we wszystkich fragmentach. Jak widać – obaj myślą nie tymi głowami, co trzeba (ot, hormony). Dalszy rozwój akcji to w większości powracające pytanie: dopadną ich, czy nie dopadną? Tymczasem Lily uwodzi niezbyt rozcarniętego mięśniaka, Bobby Johnsona, co raczej nie wychodzi mu na zdrowie. Okazuje się bowiem, że wspomniane wyżej macki służą do zapłodnienia męczyzny drogą doustną, a na domiar złego dochodzi przy okazji do transferu zimna z organizmu kosmitki, co oznacza temperaturę ciekłego azotu. Następnego dnia delikwent zostaje więc znaleziony ze wszystkimi członkami zmrożonymi na amen i trafia do kostnicy. Detektyw Francis Kirk (niezły zresztą oryginał) podejrzewa Luke'a, jako rywala denata; przy okazji poznajemy też dawną dziewczynę naszego bohatera, detektyw Amandę Watts (straszny obciach, toż to trzydziestka, jak nie więcej).

Luke postanawia za wszelką cenę udowodnić, że inwazja rzeczywiście ma miejsce, w czym pomaga mu przyjaciółka Alex, uroczą dziewczyną, której ten nie postrzega jako istoty płci żeńskiej. Za to konsekwentnie głupieję na widok Lily, co omal nie kończy się dla niego hibernacją. Na szczęście przypadkowy ogień powoduje, że kosmitka wpada w panikę i spontanicznie transformuje się do naturalnej postaci, wskazując przy okazji swój czuły punkt. Kiedy ginie następna osoba – Luke już wie, co robić: uzbrojony w palnik koleżanki ze sztuk pięknych, asekurowany przez detektyw Amandę, wpada do pokoju, gdzie zasiada mieszane towarzystwo damsko-męskie (czytaj: kosmiczno-ziemskie) i żąda wielkim głosem: *Pokażcie swoje pępki!* Na to wezwanie, jak się okazuje, reaguje skwapliwie tylko męska (a więc Bogu ducha winna) część widowni. Co się dalej dzieje trzeba zobaczyć samemu, bo żadne słowa tego nie opiszą (za wyjątkiem, rzecz jasna, scenariusza *Przynęt*).

Kiedy akcja filmu zbliżała się do finału, pomyślałem sobie mimochodem: Byłoby całkiem fajnie, gdyby na koniec okazało się, że... Ciekawe, czy tak się stanie...? I rzeczywiście – stało się. A przyjemność, jaką przy tym odczułem, wyklucza łatwe stwierdzenie, że film jest przewidywalny. Jest on po prostu zabawny, choć w tej kwestii mogę mówić tylko za siebie. A ponieważ każdego śmieszy co innego, nie dziwi mnie wcale stosunkowo niska jego ocena. Sam dałbym mu ze dwa punkty więcej, ale to już wyłącznie moja prywatna sprawa.

Andrzej Prószyński

P.S. Film ma kontynuację, *Decoys: The Second Seduction* (2007), której nie widziałem. Występuje w niej także Corey Sevier, odtwórca roli Luke'a, co jest o tyle dziwne, że ów poległ w końcówce części pierwszej. A może jednak nie? Cała rzecz w tym, że kosmitki nie robią chłopakom kuku specjalnie, tylko chcą, aczkolwiek bez powodzenia, przedłużyć swój gatunek. Może tym razem się udało – i Luke został szczęśliwym ojcem (matką?). Wszystkiego najlepszego!



Przynęty (Decoys/Piégés), Kanada 2004
ocena FilmWeb: ujdzie (4,1/10), IMDb: 4,5/10
reżyseria: Matthew Hastings
scenariusz: Matthew Hastings, Tom Berry
muzyka: Jim Guttridge, Daryl Bennett
zdjęcia: Daniel Villeneuve
gatunek: komedia, horror, sf
czas trwania: 90 min.
emisja: Polsat, 19.11.2011

Obsada:

Corey Sevier (Luke Callahan)
Elias Toufexis (Roger Reynolds)
Stefanie von Pfetten (Lilly)
Kim Poirier (Constance)
Meghan Ory (Alex)
Marc Trottier (Bobby Johnson)
Richard Burgi (Detektyw Francis Kirk)
Nicole Eggert (Detektyw Amanda Watts)

Cytat:

Luke: Nie wydają ci się dziwne?
Alex: Jeszcze jak! Są piękne, opalone i mają idealną cerę.
Może chociaż są głupie?

LEKTURY POD CHOINKĘ

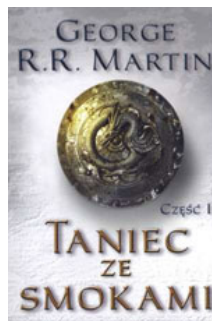
Recenzje

Karola

Nazywam się Karol Ginter. Jestem doktorem nauk humanistycznych, ze specjalnością historia. Witam serdecznie na mojej stronie i zapraszam do jej zwiedzania. Strona ta zawiera dość różnorodne treści, ze względu na różnorodność moich zainteresowań. To tłumaczy, dlaczego nadałem jej nazwę "Galimatias".

PIEŚŃ LODU i OGŃ - czyli: finał blisko (?)

Zazwyczaj mam dość silną wolę i potrafię cierpliwie czekać, aż ukażą się obie części kolejnego tomu cyklu. Tym razem moja cierpliwość została wystawiona na zbyt ciężką próbę. Minęło kilka ładnych lat od ukazania się poprzedniego tomu. Kiedy w 1998 roku w Polsce ukazała się *Gra o tron*, na okładce znalazła się adnotacja na temat autora: "Pisze wolno i raczej niewiele". Te słowa nabrały dla mnie nowego wymiaru przez te wszystkie lata. Sam nie wiem, ile razy zaglądałem na internetową stronę pisarza. W pewnym momencie Martin przestał w ogóle informować o postępach prac nad cyklem. W tym roku apetyt dodatkowo podsycił serial zrealizowany przez HBO, który wyszedł całkiem niezle. No i wreszcie rozeszła się wieść, że ukaże się długo wyczekiwany *Taniec ze smokami*. Oczekiwanie uprzyjemniłem sobie ponowną lekturą dotychczas wydanych tomów cyklu. A kiedy dostałem w swoje ręce pierwszą część *Tańca ze smokami* – nic nie mogło mnie powstrzymać przed eksploracją nowych obszarów wykreowanego przez Martina świata.



Dzięki pomocy Varysa Tyrion trafia do Pentos. Tam czeka na niego Illyrio Mopatis, który od lat zaangażowany jest w pomoc niedobitkom rodu Targaryenów. Illyrio i Varys spiskują, by przywrócić smoczych władców na tron Westeros. Teraz również Tyrion ma wesprzeć Daenerys Targaryen w jej staraniach o tron. Jednak przed Tyrionem długa i pełna niebezpieczeństw droga, bo Daenerys przebywa aktualnie w Meereen.

W chwili, gdy Tyrion opuszcza Pentos – ani on sam, ani Illyrio nie wiedzą, że Daenerys porzuciła chwilowo plany udania się do Westeros. Jej dotychczasowe zwycięstwa były łatwe, ale sukcesy okazały się nietrwałe. Dlatego chce udowodnić samej sobie, że potrafi nie tylko zwyciężać, ale również rządzić. Meereen jest dla niej swego rodzaju testem. W praktyce jej władza nad miastem jest dość iluzoryczna. Nie umie poskromić fali zabójstw, której ofiarami padają jej żołnierze i wyzwoleni przez nią niewolnicy. Za morderstwami stoją Synowie Harpii, przedstawiający się jako obrońcy dawnego porządku. A jakby tego było mało – pokonane i upokorzone przez nią Yunkai tworzy koalicję miast i gromadzi wojska, by ruszyć przeciw Meereen. Czy Daenerys znajdzie sposób na rozprawienie się z tymi zagrożeniami?

Tymczasem Jon, już jako nowo wybrany Lord Dowódca, musi stawić czoła wyzwaniom, przed którymi od stuleci nie stanął żaden z dowódców Nocnej Straży. Wprawdzie Stannis Baratheon uratował swoim przybyciem Mur przed dzikimi, ale nie była to pomoc bezinteresowna. Stannis chciałby wykorzystać Mur i Nocną Straż do swoich celów, a na to Jon nie może się zgodzić. Nocna Straż musi przede wszystkim zachować neutralność w toczącym się konflikcie o tron. Nawet jeśli propozycje Stannisa są kuszące – Jon wie, jak wielkie brzemię odpowiedzialności spoczywa na nim jako na Lordzie Dowódcy. Od jego decyzji może zależeć przetrwanie Siedmiu Królestw.

Wybory, przed którymi staje, nie są łatwe. Rozdzierany sprzecznymi pragnieniami wspiera Stannisa swymi radami, a w ten sposób pośrednio wpływa na bieg wojny o tron.

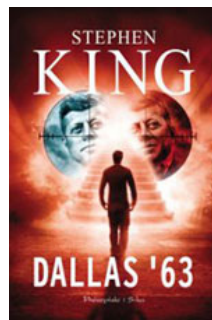
Może na tym poprzestaną. Lekko zaanonsowałem niektóre z wątków. Tym, którzy czytali poprzednie tomy, niczego szczególnego właściwie nie zdradziłem. Inna sprawa, że Martin przygotował kilka niespodzianek, które mogą zmienić bieg wydarzeń. Pojawiły się całkiem nowe postacie i związane z nimi wątki. Już w *Uccie dla wron* narracja prowadzona była czasami z punktu widzenia postaci epizodycznych, które jednak były świadkami wydarzeń istotnych dla fabuły. Tak samo jest i tym razem. Bynajmniej nie ułatwia to życia czytelnikowi. Ogarnięcie całości staje się z każdym tomem trudniejsze. Liczba pytań bez odpowiedzi rośnie. Oby tylko Martin umiał sensownie zamknąć wszystkie te wątki.

Właściwie już we wstępie zdradziłem się jako miłośnik cyklu. Trudno mnie wobec tego posądzić o obiektywizm. Jestem szczerym fanem i – choć czasami mam ochotę trochę pomarudzić – snuta przez Martina opowieść ma zbyt wiele zalet, by przyćmiły je nieliczne wady. Niektóre z tych zalet (jak i wad) wymieniałem w poprzednich recenzjach. Tym razem znowu nieco uwagi poświęciłbym postaciom kreowanym przez autora. Nie przestaje mnie zdumiewać ich złożoność. Nawet jeśli w którymś momencie wydaje się, że możemy danego bohatera w jakiś sposób zaszufladkować – autor udowadnia nam, że jesteśmy w błędzie. Nie wiadomo nawet, jakie role w wielkim dramacie kreślonym przez Martina mają do odegrania poszczególne postacie. Pierwszoplanowi (zdawałoby się) bohaterowie – nieraz usuwani byli brutalnie ze sceny. Ilu jeszcze spotka ten los, zanim wreszcie ujawni się właściwa oś konfliktu? W pewnym momencie zrodziło się wręcz we mnie podejrzenie, że autor z premedytacją eliminuje w pierwszej kolejności te postaci, które budzą sympatię czytelników. Postaci antypatyczne wykazują się dużo większą zdolnością przetrwania. No cóż, Martin lubi bawić się z czytelnikiem i zaskakiwać. Wszystko jest tu możliwe. Kiedy niczego nie sposób przewidzieć – jest się skazanym na łaskę autora. Mogłby mieć chociaż tyle miłosierdzia w sercu, żeby szybciej pisać kolejne tomy.

KING i SF - czyli: jak spieprzyć naszą strunę czasu

Jake Epping jest nauczycielem angielskiego w Lisbon High School. Wiedzie niezbyt ciekawe, samotne życie. Jakiś czas temu porzuciła go żona, która po latach zmagania z alkoholizmem właśnie na nowo odkryła zalety trzeźwości. Jake popada w rutynę codzienności i przyzwyczajęń. Jednym z jego nawyków są wizyty w barze Al's Diner. Pewnego dnia właściciel baru, Al Templeton, dzwoni do niego i zaprasza go do siebie. Jake ze zdumieniem odkrywa, że w ciągu 22 godzin Al postarzał się o kilka lat, a do tego widać po nim oznaki poważnej choroby. To jednak zaledwie pierwsza z wielu niespodzianek, które czekają go tego dnia. Al zdradza mu tajemnicę, którą skrywał od lat: w jego spiżarni znajduje się portal umożliwiający przeniesienie się w czasie do 9 września 1958 roku. Powierza mu też bardzo ważną misję: ma uratować życie prezydenta Kennedy'ego. Uprowadza go przy tym, że zadanie nie jest proste, bo przeszłość najróżniejszymi sposobami broni się przed zmianami. Al chciał samodzielnie zapobiec zamachowi na Kennedy'ego, ale dopadła go śmiertelna choroba.

Zaopatrzony w odpowiednie dokumenty, zasoby pieniężne i inne pomoce przygotowane przez Ala – Jake przyjmuje tożsamość George'a Ambersona. Zanim podejmie się wielkiego zadania wskazanego przez Ala, poligonem do doświadczeń ze



zmienianiem przeszłości staje się Derry. Tak jest, to samo Derry, gdzie toczyła się akcja innej powieści Kinga, zatytułowanej *Coś*. Przyznaję uczciwie, że sama nazwa wydała mi się wprawdzie znajoma, ale zważywszy na dużą liczbę lektur, które mam za sobą, nie zwróciłem na to początkowo uwagi. Dopiero szereg aluzji do wydarzeń, które przecież – zgodnie z chronologią powieści *Coś* (staram się jak mogę unikać odmienniania tytułu, bo brzmiałoby to głupio) – dopiero co miały miejsce, pobudziły moje szare komórki do intensywniejszej pracy. W każdym razie – Jake boleśnie doświadcza na własnej skórze, jak trudno zmienić przeszłość. Nie do końca osiąga też cel, który sobie stawiał, czyli uratowanie życia rodzinie Dunning. Ma jednak jedną przewagę nad innymi uczestnikami wydarzeń: może spróbować raz jeszcze. Portal prowadzący w przeszłość ma tę właściwość, że za każdym razem trafia się w ten sam moment czasu, a zmiany wprowadzone podczas poprzedniej wizyty zostają zresetowane. Jake korzysta z tego wybiegu i raz jeszcze udaje się do Derry. Dopiero potem zmierzy się z głównym zadaniem, czyli powstrzymaniem Lee Harveya Oswalda przed zabiciem Johna F. Kennedy'ego. Tyle tylko, że przeszłość zamierza się bronić, a w swoim arsenale ma nie tylko nieszczęścia i choroby, które mogą dotknąć Jake'a.

Powieść zaskoczyła mnie w wielu aspektach. Przede wszystkim: spodziewałem się większego natężenia elementów grozy. Tymczasem nie ma ich prawie wcale. Cały epizod w Derry był jedynie zasłaną dymną. Pierwszą z wielu. Narracja, która zaczęła się mocnymi akcentami rodem z fantastyki, a potem otarła się o horror, dryfuje w stronę powieści obyczajowej z elementami melodramatu osadzonej w realiach przełomu lat 50. i 60. Miałem wrażenie, że to taka podróż sentymentalna autora w czasy młodości. King unika jednak nadmiernej kliwkości i – choć widać tu tęsknotę za tym, co Ameryka utraciła – obnażone zostały także mankamenty ówczesnych realiów. W każdym razie – główny wątek, czyli działania na rzecz zapobieżenia zamachowi w Dallas, schodzą na plan dalszy. Widać, że był to tylko pretekst, by zafundować czytelnikowi wycieczkę na amerykańską prowincję tamtych czasów. Miejscami ciekawą, ale chwilami nużącą. Trafiają się dłużyzny. Za to w końcówce akcja znowu nabiera tempa, więcej tu elementów sensacyjnych – i oczywiście fantastyki.

Tym, co w końcówce bardzo pozytywnie mnie zaskoczyło, było odejście od kreowanej na wyrost legendy Kennedy'ego, obsadzającej go w roli męża stanu zdolnego rozwiązać wszystkie problemy Ameryki i świata. Wiele o kondycji ludzkiej mówi fakt, że tragicznie zmarłych obsadzamy w rolach, w których za życia nie dane im było się wykazać. Kennedy był dość przeciętnym prezydentem, a nawet ta opinia jest chyba nadmiernie dlań pochlebna. Śmierć dała jednak początek legendzie; a wiadomo, że prawda zazwyczaj przegrywa z legendą, gdyż nie jest tak atrakcyjna. Tym większe brawa dla Kinga, że ładnie wybrnął z pułapek zastawianych przez legendę. Owszem, w jakimś sensie go ona uwiodła – bo inaczej powieść ta nigdy by nie powstała – ale nie pozbawiła go zmysłu krytycznego.

Jednym z wartych uwagi aspektów powieści jest autorska koncepcja podróży w czasie i wprowadzania zmian w przeszłości. King odwołuje się do znanych już z literatury i filmu motywów, jak np. "efekt motyla", ale właściwie nie robi z nich większego użytku. Zgodnie z "efektem motyla" nawet drobna zmiana całkowicie może odmienić bieg zdarzeń. Jakiś zwykły drobiazg, a losy człowieka potoczą się zupełnie inaczej (patrz chociażby *Przypadek* Kieślowskiego). U Kinga niczego takiego nie ma. Dopiero duże zmiany powodują konsekwencje dla przyszłości. Trochę bliżej mu do koncepcji, że przeszłość będzie chciała skorygować bieg wydarzeń – niczym rzeka dążąca do tego, by za wszelką cenę wrócić do koryta, którym wcześniej płynęła. Jednak nawet taka koncepcja, choć też już z powodzeniem eksploatowana w literaturze, go nie zadowala. Idzie krok dalej i dowodzi, że istnieje pewien determinizm dziejowy. Próby wprowadzenia jakichkolwiek zmian nie tylko są niezwykle trudne, ale mają równocześnie straszliwe konsekwencje. Jakby jakaś siła wyższa

czuwała, by wszystko potoczyło się zgodnie z ustalonymi wytycznymi; a jak nie – to sięgała po arsenał zarezerwowany dla bogów i siała zniszczenie na skalę biblijną. Jakoś mnie to zupełnie nie przekonano. Jest to dla mnie wybieg autora, który pozwala mu zakończyć powieść w taki, a nie inny sposób. No, ale co zrobić: *licentia poetica*.

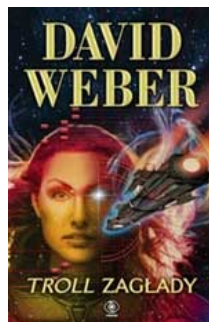
Choć książkę czyta się dość przyjemnie, mam lekkie uczucie niedosytu. King tym razem nie zaskoczył niczym szczególnym. Nie ukrywam, że – mając w pamięci inne jego powieści – myślałem, że autor pokusi się o ciekawsze rozwiązanie całej intrygi. Trochę liczyłem też na to, że będzie jakieś drugie dno całej tej historii. Pewnie oczekiwałem zbyt wiele. Mimo wszystko książkę polecam!

WCZESNY WEBER – czyli: przeczytaj i zapomnij

W odległej przyszłości trwa kosmiczna wojna między ludźmi a rasą Kangi. Szala zwycięstwa wyraźnie przechyla się na stronę ludzi. Kangi podejmują więc rozpaczliwą próbę odwrócenia losów wojny i wysyłają w tym celu potężną flotę okrętów. Nie ma ona jednak walczyć z flotą Ziemi. Jej celem jest Ziemia w przeszłości. Nikt dotąd nie próbował podróżować przez inne wymiary w taki sposób, by cofnąć się w czasie. Jest to ryzykowny krok, ale Kangi są zdesperowani. Flota Kangi zostaje jednak wykryta na swoim temporalnym kursie. W pościg ruszają jednostki 92. Eskadry Liniowej. Dochodzi do starcia, w którym zniszczona zostaje większość jednostek zarówno ludzi, jak i Kangi. Udaje się zmienić kurs niedobitków floty Kangi i zahamować ich podróż w przeszłość.

Niestety, trudno mówić o pełnym sukcesie, bo kilka jednostek Kangi trafia do czasów nam współczesnych. Owszem, nie osiągnęły one zamierzonego celu, czyli Ziemi z czasów przedindustrialnych – ale współczesna technika nie może równać się z tym, czym dysponują najslabsze ocalałe jednostki Kangi. Ostatnie myśliwce 92. Eskadry Liniowej, które wciąż ścigają wrogów, to za mało, by ocalić Ziemię. Wprawdzie w bitwie nad oceanem, w którą angażują się także jednostki amerykańskiej floty, zbiegiem okoliczności udaje się zniszczyć prawie wszystkie statki kosmiczne Kangi, ale kluczowe jest właśnie słowo "prawie". Ocalał jeden *Troll*. Może on samodzielnie zniszczyć życie na Ziemi, o ile będzie miał na to wystarczająco dużo czasu i będzie unikał bezpośredniej konfrontacji. Tylko pułkownik Ludmilla Leonowna, która jako jedyna ocalała z całej 92. Eskadry Liniowej, może pomóc ludzkości w nadchodzącym starciu. No cóż, Amerykanie znów muszą uratować świat...

Nie miałem wielkich oczekiwań, więc i trudno mówić o rozczarowaniu. Takie sobie czytało. Zapowiadało się nawet interesująco, ale potem było coraz gorzej. Zaczynając od faktu, że skoro jeden *Troll* dysponuje taką potęgą, to po co było wysyłać potężną flotę? Tym bardziej, że wielką flotę łatwiej wykryć. Sporo elementów misternie budowanej przez autora intrygi budzi wątpliwości. Ich roztrząsanie nie ma większego sensu. Ktoś, kto szuka rozrywki i lubi tego typu literaturę, raczej się nie rozczaruje. Ktoś taki jak ja, zawsze szukający dziury w całym, będzie chwilami zgrzytał zębami. Jednak nie nadmiernie, bo szkoda szkliwa. Można przeczytać, a potem zapomnieć. Taki już los tego typu czytań.



Karol Ginter
karolginter.pl

GDZIE SĄ KSIĄŻKI Z TAMTYCH LAT...? (5)

W poprzednim odcinku skończyłem na *Sadze Vorkosiganów* pisarki **Lois McMaster Bujold**. Skoro już jesteśmy przy Budzoldce, to warto wspomnieć o jej świetnym cyklu fantasy **Świat 5 Bogów** (jest to polska nazwa cyklu [kapitałna zresztą], w źródłach anglojęzycznych stosowana jest nazwa **Chalion series**).

Wydawnictwo Prószyński i S-ka wydało z tego cyklu:

- *Klątwa nad Chalionem*, 2003 (*The Curse of Chalion*, 2001);
- *Paladyn dusz*, 2005 (*Paladin of Souls*, 2003).

Panie Prószyński, kończy nam się czas. Armagedon dokładnie za rok! Chciałbym jeszcze przed zejściem przeczytać trzeci tom cyklu: *The Hallowed Hunt* (2005).



Leland Exton Modesitt, Jr. napisał cykl fantasy **Saga Recluce** (*The Saga of Recluce*), składający się (jak na razie) z 13 tomów. W powszechnej opinii jest to najlepszy cykl tego autora.

Dom Wydawniczy REBIS wydał sześć pozycji:

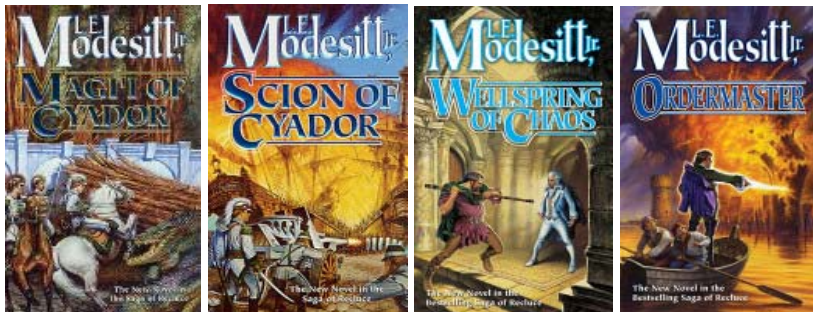
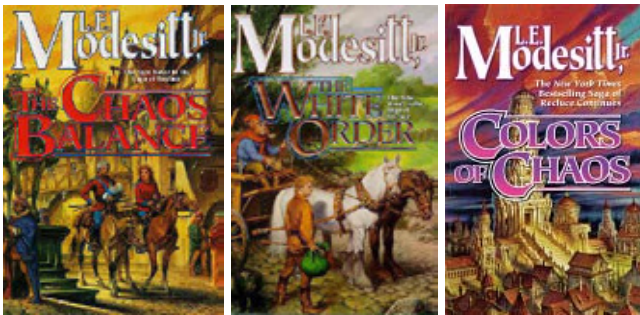
- *Magia Recluce*, 1999 (*The Magic of Recluce*, 1991);
- *Wieże zachodzącego słońca*, 1999 (*The Towers of Sunset*, 1992);
- *Magiczny inżynier*, 2000 (*The Magic Engineer*, 1994);
- *Wojna Ładu*, 2000 (*The Order War*, 1995);
- *Śmierć Chaosu*, 2001 (*The Death of Chaos*, 1995);
- *Upadek aniołów*, 2002 (*The Fall of Angels*, 1996).



Z pewną dozą nieśmiałości pytam jedno z moich ulubionych wydawnictw: czy będę miał szansę (w tym życiu) przeczytać pozostałe tomy *Sagi Recluce*?

Czyli:

- *The Chaos Balance* (1997);
- *The White Order* (1998);
- *Colors of Chaos* (1999);
- *Magi'i of Cyador* (2001);
- *Scion of Cyador* (2001);
- *Wellspring of Chaos* (2004);
- *Ordermaster* (2005).



Powracam do moich ulubionych gatunków literatury fantastycznej: military sf i space opera. Przed kilku laty **wydawnictwo ISA** było moim ukochaniem (przepraszam za seksualne podejście do tematu, ale w fantastyce jestem przede wszystkim czytaczem, dalej działaczem, dalej długo, długo nic, a następnie oglądaczem).

Ongiś ISA wydawała kilkadziesiąt pozycji rocznie, teraz (po perypetiach wewnętrznych) – kilka do kilkunastu. Dziś skupię się tylko na jednym cyklu, który najbardziej mnie boli. Mam na myśli cykl **Wojna Vattów** (*Vatta's War*).

ISA wydała z tego cyklu (w świetnym tłumaczeniu Jerzego Marcinkowskiego):

- *Handel w zagrożeniu*, 2006 (*Trading in Danger*, 2003);
- *Prawo odwetu*, 2006 (*Marque and Reprisal*, 2004);
- *Walka z wrogiem*, 2008 (*Engaging the Enemy*, 2006).

Do pełni szczęścia brakuje mi jeszcze:

- *Command Decision* (2007);
- *Victory Conditions* (2008).



Patrząc z ukosa (6)

GWIEZDNE WROTA [1]

INGO SWANN



Jestem pewny, że podstawowym powodem spychania na margines WSZYSTKICH form badań nad Psi jest to, że sytuują się one zbyt blisko znienawidzonych i nie chcianych zdolności telepatycznych.

(Ingo Swann, *Penetracja*)

Podobno wszystko zaczęło się od kaczki dziennikarskiej z 1960 roku, kiedy to francuskie gazety podały, że Amerykanom udało się nawiązać telepatyczną łączność pomiędzy bazą lądową a łodzią podwodną *Nautilus*. Zaniepokojone władze radzieckie zezwoliły wtedy na rozwój badań nad parapsychologią, która dotąd nijak nie pasowała do materializmu dialektycznego. Dane wywiadowcze z ZSRR posłużyły z kolei jako argument do uruchomienia odpowiednich programów badawczych w USA. I tak się zaczęła parapsychologiczna zimna wojna.

O różnych aspektach badań po obu stronach żelaznej kurtyny można przeczytać w książce Ernsta Meckelburga *Agenci PSI* (1994, tłum. 1997), jednak w późniejszych latach ujawniono więcej informacji na ten temat. Najbardziej udanymi (a może po prostu najmniej tajnymi) okazały się w rezultacie eksperymenty nad tak zwanym *zdalnym widzeniem* lub *teleobserwacją* (*remote view*), które były prowadzone w USA w latach 1972-1995, w ramach programów rządowych o kolejnych kryptonimach *SCANATE*, *Gondola Wish*, *Grill Flame*, *Center Lane*, *Dragoon Absorb*, *Sun Streak* i wreszcie (najbardziej znanym) *Stargate* – pod egidą CIA, Armii, DIA i znów CIA, która w końcu całą serię zamknęła.

Początki zdalnego widzenia sięgają roku 1971, kiedy to supermedium Ingo Swann, nowojorski artysta (fot. obok) wziął udział w eksperymentach prowadzonych przez *American Society for Psychical Research* w jego rodzinnym mieście. Został on później zaproszony (wraz z paroma innymi znanymi mediami, jak Uri Geller i Pat Price) do *Stanford Research Institute* w Menlo Park, gdzie dwóch fizyków, Harold E. Puthoff i Russell Targ, inaugurowało program *SCANATE* sponsorowany przez CIA. Początkowo uczestnicy eksperymentów byli proszeni o zgadywanie, jakie przedmioty znajdują się w zamkniętych pudełkach, umieszczanych pod sufitem lub w innym pokoju. Ingo Swann prędko się tym znudził, zaproponował więc coś ciekawszego: wizytę na Jowisz. Był rok 1973 i w kierunku tej planety zmierzał właśnie *Pioneer 10*. Sonda miała dotrzeć na miejsce we wrześniu, zaś Ingo Swann chciał znaleźć się tam mentalnie już w kwietniu, by później porównać otrzymane dane. Początkowo kierownictwo projektu nie chciało o tym słyszeć, musiał więc zagrozić, że wróci do Nowego Jorku – i w końcu postawił na swoim. „Wycieczka” zakończyła się pełnym sukcesem, co oznacza, że większość zebranych danych została potwierdzona, a pozostałe nie zostały obalone. W szczególności Ingo Swann zobaczył, że Jowisz ma pierścień, czego wówczas nikt się nie spodziewał (oficjalnie odkrył go dopiero *Voyager 1* w 1979 roku).



Z czasem eksperymenty przekroczyły granice laboratorium i zaczęły obejmować najbliższe okolice. Wypracowano wtedy następujący schemat postępowania. Jedna osoba sporządzała listę celów, do których można dojechać w ciągu pół godziny, po czym umieszczała każdy z adresów w kopercie z sobie tylko znanym oznaczeniem kodowym. Inna osoba losowała jedną z kopert i przekazywała ją zespołowi, który wsiadał do samochodu i wyjeżdżał za miasto. Dopiero wtedy

kopertę otwierano, aby poznać cel podróży, po czym ekipa o umówionej wcześniej godzinie przybywała na miejsce i rozpoczynała obserwację. W tym samym czasie zdalny obserwator, znający tylko oznaczenie kodowe, rozpoczął mentalne namierzenie celu. Wspierał go w tym prowadzący (też nie znający punktu docelowego), pełniący rolę stabilizatora. Chodzi mianowicie o to, że wizje obserwowanego obiektu odbiera podświadomość, natomiast świadomy umysł ma skłonność zaktowania przekazu, dodając o siebie wyobrażenia oraz racjonalizacje. Prowadzący odgrywa więc rolę „świadomości zastępczej”, która podpowiada, czym należy się zająć i w którą stronę skierować wewnętrzny wzrok zdalnego obserwatora. Ten z kolei mówi głośno o wszystkim, co widzi, sporządza też rysunki, zanim świadomy umysł wtrąci swoje trzy grosze. Odbierane wrażenia mają wyraźnie prawopółkulowy charakter i obejmują kształty, kolory, fakturę materiału, a także temperaturę, smaki, zapachy i dźwięki. Z pozoru wydaje się, że mamy tu do czynienia z przekazem telepatycznym, jednak przykład Jowisza (a także późniejsze eksperymenty) jasno pokazuje, że cel można namierzyć także wtedy, gdy nikt na niego nie patrzy. Zdalny obserwator ma zresztą najczęściej poczucie bilokacji (czyli przebywania w dwóch miejscach jednocześnie); może także, zgodnie z sugestią prowadzącego, obejrzeć obiekt np. z lotu ptaka. Przypomina to więc najbardziej podróże poza ciałem, o których pisałem w poprzednim numerze.

Już pierwsze eksperymenty ze zdalnym widzeniem były bardzo obiecujące, dotyczyły jednak ludzi wybitnie uzdolnionych, którzy mimo niekiedy spektakularnych sukcesów musieli nadal uczyć się na własnych błędach. Dalszy wysiłek zmierzał więc do wypracowania procedur, które umożliwiłyby specjalnie przeszkolonym ludziom osiągnięcie wysokiej niezawodności. Przy okazji zrezygnowano także z zespołu obserwującego, który okazał się całkowicie zbędny.

Odpowiednie procedury (tzw. protokoły) opracował Ingo Swann, stworzył też tzw. metodę współrzędnych. Początkowo były to współrzędne geograficzne namierzanego obiektu, później zrezygnowano i z tego, ograniczając się do abstrakcyjnych oznaczeń kodowych, których sens znał (od razu lub później) jedynie zleceniodawca obserwacji. Swann uznał też za konieczne włączenie do systemu szkoleń zdalnych obserwatorów zaliczenie kursu wychodzenia z ciała w *The Monroe Institute*. W rezultacie osiągnięto wysoką powtarzalność wyników i obecnie, przy pracujących niezależnie od siebie kilku dobrze wyszkolonych zdalnych obserwatorach, pewność prawidłowej obserwacji jest praktycznie stuprocentowa. Stanowi to dobrą reklamę współczesnych cywilnych zastosowań komercyjnych zdalnego widzenia, mających swój początek w 1989 roku, po zakończeniu zimnej wojny. Firmy i organizacje, które powstały w tym okresie, w większości działają do dziś. Są to między innymi:

- *PSITECH* (od 1989 r., założyciel mjr Ed Dames), www.remoteviewing.com,
- *P>S>I (Problems Solutions Innovations)*, od 1992, założyciel Lyn Buchanan), www.crviewer.com,
- *FARSIGHT* (od 1995 r., non-profit, właściciel Courtney Brown, o którym opowiem w następnym odcinku), www.farsight.org,
- *RVIS (Remote Viewing Instructional Services)*, od 1997 r., założyciel Paul Smith), www.rviewer.com

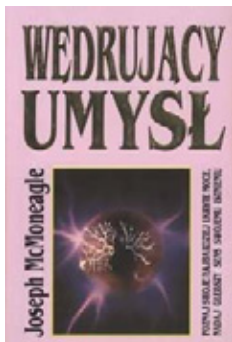
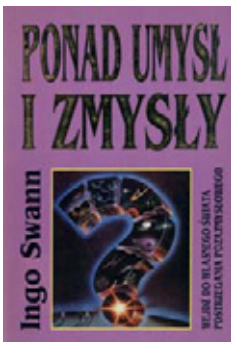
i wiele innych, zob. np. www.remoteviewed.com/rvhistorymap.html. Ostatnia firma, jak wynika z jej nazwy, prowadzi szkolenia w zakresie teleobserwacji; istnieją także książki, uczące tej sztuki, a w każdym razie dające dobre rady i wskazówki tym, którzy chcieliby tego sami spróbować. W Polsce wydano dwie takie pozycje: *Ponad umysł i zmysły (Everybody's Guide to Natural ESP)* Ingo Swanna (1991, tłum. 1994) oraz *Wędrujący umysł (Mind Trek)* Josepha McMoneagle (1993, tłum. 1995). O drugiej z tych książek, uważanej za znaczącą, opowiem trochę w następnym odcinku w związku ze zdalnymi obserwacjami Marsa.

Widzenie na odległość daje możliwość spenetrowania dowolnego (np. ściśle strzeżonego) miejsca, zajrzenia do przechowywanych tam dokumentów, itp.; jest więc idealnym narzędziem szpiegostwa, zarówno międzynarodowego, jak i przemysłowego. Dlaczego więc agencje wywiadowcze oraz armia wypuściły to z rąk? Odpowiedzi udziela nasze dzisiejsze motto. Ingo Swann zwraca w nim uwagę na skojarzenia z telepatią: inwigilację można jeszcze znieść, ale zagładanie do

mózgu? Wspomina, że kiedy oficjele wizytowali Stanford lub później Fort Meade, żaden z nich nie chciał pójść z nim na lunch ani nawet porozmawiać. Jak sam pisze:

Powód był następujący: „Jezu, on potrafi czytać w moich myślach! Nie mogę pozwolić na to, aby się do mnie zbliżył.” Ten cytat NIE jest parafrazą.

Podobnie kiedy agenci CIA zamykali program w 1995 r., robili to pośpiesznie, nie patrząc nikomu w oczy, jakby spodziewali się, że ktoś zacznie grzebać w ich umysłach (obawa o tyle



chybiona, że w telepatii odległość i kontakt wzrokowy nie mają żadnego znaczenia). Nawiasem mówiąc: samo określenie *telepatia* powstało specjalnie po to, by zastąpić odstraszący termin *czytanie myśli*, a następnie wiele wysiłku włożono w to, by rozpropagować fałszywy model *nadawca-odbiorca*, dzięki któremu badania nad telepatią nie budziły protestu potencjalnych sponsorów. Fałszywy zaś dlatego, że w telepatii nie ma nadawcy – jest tylko aktywny odbiorca. Czy więc oficjele słusznie obawiali się Ingo Swanna? Proszę sobie samemu na to odpowiedzieć.

Ale najciekawsze dopiero przed nami. Czy ktoś z Czytelników sądzi, że agencje rządowe mogłyby się zainteresować... szpiegostwem międzyplanetarnym? A jednak. W swojej książce *Penetracja* (1998, tłum. 2001) Ingo Swann opisuje historię, która zaczyna się jak rasowa powieść szpiegowska, a kończy jak inwazyjna odmiana SF. Jej bohaterem jest *grupa tak tajna, że całkowicie niewidoczna*. A było to tak.

W roku 1975 Swann otoczony był sławą eksploratora Jowisza. Jeden z wysoko postawionych urzędników z Waszyngtonu, znany mu i przezeń lubiany, zadzwonił kiedyś do niego uprzedzając, że może się spodziewać telefonu od niejakiego Axelroda, oraz że powinien zgodzić się bez pytania na jego propozycje. Tak się stało jakiś czas potem, na dodatek o trzeciej rano. Dalej było dyskretne spotkanie w Waszyngtonie, bezgłośnie dyspozycje na karteczkach, przejazd samochodem z kapturem na głowie, helikopter, zjazd pod ziemię i wreszcie zdjęcie kaptura i spotkanie z panem Axelrodem, który od razu zastrzegł, że to tylko pseudonim. Uff! Jak wspomina autor: *Byłem – no cóż – przerażony i nie boję się do tego przyznać*.

Następnie Axel (bo tak kazał się nazywać) zaproponował Swannowi kilka sesji zdalnego widzenia za 1000 dolarów dziennie, po czym odbyli dyskusję na temat teleobserwacji i natury telepatii. Następnego dnia, po nocy spędzonej pod strażą, Ingo Swanna zaproszono do mentalnych odwiedzin... na Księżycu. Podczas sesji Axel podał mu kolejno kilka współrzędnych selenograficznych, prosząc o opis tego, co się tam znajduje. Ingo Swann, doświadczony zdalny obserwator, wpadł w rozterkę, kiedy okazało się, że nasz satelita wygląda zupełnie inaczej, niż „powinien”. Nie wierzył, że tam, gdzie skierował swój mentalny wzrok, są wieże, kopuły i inne budowle, maszyny, światła i atmosfera. Nie wierzył, że widzi Księżyc, a nie jakieś miejsca na Ziemi. Axel jednak nie był specjalnie zdziwiony. On WIEDZIAŁ, że wszystko to tam jest.

W pewnym momencie Swann zaobserwował grupę istot, wyraźnie ludzkich, przy pracy. Nagle dwóch z nich, żywo gestykulując, zaczęło wskazywać w jego kierunku, co spowodowało u Swanna odruchowe mentalne wycofanie się. Wyglądało na to, że został w jakiś sposób dostrzeżony, a Axel kazał mu natychmiast uciekać z tego miejsca.

Księżyc bazą Obcych? Nieprawdopodobne, co? A jednak nie jest to znowu taka wielka nowość. Księżycowe anomalie (czyli rzeczy, których tam być „nie powinno”) obserwuje się na powierzchni naszego satelity od czasu wynalezienia teleskopu. Są to np. opary i chmurki (świadczenia istnienia atmosfery i wody), duże przemieszczające się obiekty oraz światła. Nietypowe struktury na zdjęciach NASA można zobaczyć w Internecie, np. na stronie www.marsanomalyresearch.com, poświęconej anomaliom marsjańskim i księżycowym, bądź na stronie dziennikarza śledczego Richarda C. Hoaglanda www.enterprisemission.com. Z drugiej strony wszystkiemu temu oficjalnie się zaprzecza. Od lat 60. obowiązuje *Teoria Martwego Księżyca*,

dopiero sonda *Clementine* (1994 r.) uczyniła w niej wyłom donosząc o istnieniu dużej ilości wody (jako lodu) na powierzchni naszego satelity. Tymczasem z lotami księżycowymi wiąże się pewna ilość niewygodnych faktów. Po pierwsze: wszystkim misjom Apollo towarzyszyły niezidentyfikowane obiekty, co potwierdził Buzz Aldrin w 40. rocznicę pierwszej wyprawy. Ingo Swann twierdzi nawet, powołując się na byłego pracownika NASA, że katastrofę Apollo 13 spowodowały UFO, a powodem miał być transport na Księżyc ładunku nuklearnego do badań sejsmicznych. Nawiasem mówiąc, badania sejsmiczne Apolla 12 oraz pomiary grawitacji dokonane przez sondy sugerują, że nasz satelita ma w środku puste przestrzenie. Po drugie: nieszczęsna, łopocząca na wietrze flaga z wyprawy Apollo 11, która stała się załącznikiem teorii spiskowej, że nigdy nie byliśmy na Księżycu, a transmisje były nadawane ze studia filmowego. Po trzecie wreszcie: jak wytłumaczyć fakt, że program Apollo zakończono przed czasem, rezygnując z pozostałych, gotowych do użycia kompletnych pojazdów księżycowych? Fakt, że już nigdy potem nie wróciliśmy na Księżyc, jest wielce znaczący. Najbardziej znana teoria na ten temat głosi, że zostaliśmy stamtąd wykopani z wilczym biletem. Podpisuje się pod tym Ingo Swann, upatrując ostatecznej desperacji tajnych służb w samym fakcie korzystania z jego usług (a pewnie także z usług innych mediów).

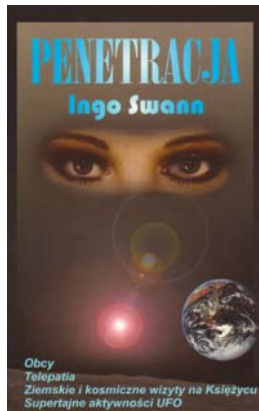
Spotkań z Axelrodem było jeszcze kilka. Jedno z nich było wycieczką samolotową w nieznaną (prawdopodobnie na Alaskę), na spotkanie z UFO, które najwidoczniej przejawiało całkiem nietypową powtarzalność. Była to dość dziwna obserwacja – pojazd zmaterializował się znikąd w powietrzu nad jeziorem i zaczął z niego pobierać wodę, co najbardziej przypominało odwrócony wodospad.

Na tym jednak nie koniec. Ingo Swann opisuje także przypadkowe spotkanie z kosmitką w supermarkecie. Kiedy na nią spojrział, poczuł, że jest spoza Ziemi; byłyby jednak przypisał to wrażenie swojej wyobraźni, gdyby nie to, że zauważył ludzi, którzy transportowali go do Axelroda. Ten ostatni dał prędko o sobie znać, wypytyując go telefonicznie, co tam robił i czy został przez nią zauważony. Chodziło mu głównie o to, czy kosmitka zorientowała się, że ją rozszyfrował. Kojarząc ze sobą dotychczas poznane fakty, Swann doszedł do wniosku, że po pierwsze: Obcy są wśród nas i czują się jak u siebie w domu (por. odcinek 4), a grupa Axelroda pilnuje ich z najwyższą ostrożnością; po drugie: kosmici mają naturalne zdolności telepatyczne (o czym np. donoszą porwani przez UFO); po trzecie: władze przyjmują z konieczności postawę defensywną, ograniczając się do rozpowszechniania dezinformacji na temat UFO, Księżycu, a także – uwagi – telepatii. W tym ostatnim przypadku zasadnicze pytanie brzmi: komu bardziej zależy na tym, by ludzie nie rozwinęli zdolności telepatycznych – ziemskim rządcom czy też może Obcym? I czyje zdanie w tej sprawie jest bardziej znaczące? Aż strach pomyśleć, co oznaczałaby druga możliwość – i czy bardziej przerażająca byłaby perspektywa oddziaływania kosmitów na naszych decydentów, czy też bezpośrednio na nasze umysły. Jeśli więc nie są do nas przyjaźnie nastawieni, to wszyscy razem mamy raczej przechłapanie. Chyba że kot Schrödingera zrobi zeza i powie, że to wszystko nieprawda.

Tym raczej mało optymistycznym akcentem kończę część pierwszą mej opowieści o zdalnym widzeniu. Zaś w kolejnym odcinku będzie mowa – a jakże – o Marsie i Marsjanach podglądanych zdalnie przez teleobserwatorów.

Andrzej Prószyński

P. S. Polecam także moją stronę <http://matematyka.ukw.edu.pl/ap/ksiezyc.html>, a zwłaszcza jej podstrony <http://matematyka.ukw.edu.pl/ap/ksiezyc-objekty.html> oraz http://matematyka.ukw.edu.pl/ap/ksiezyc_ufo.html, gdzie zamieściłem parę ciekawych zdjęć, które uszły uwadze NASA, a następnie zrobiły furorę w Internecie.



KOLEKCJA OKRUCHÓW HISTORYCZNYCH



Matylda – królowa, która miała czartowi syna urodzić

Matylda, bohaterka aktualnego odcinka tej rubryki, urodziła się w połowie lat 90. IX wieku (być może w 895 r.) w westfalskim Engerze. Ojciec jej był co prawda tylko hrabią, lecz kronikarze wywodzili jego korzenie od germańskiego księcia Widukinda, który nader długo stawiał opór podbojowi Karola Wielkiego. Ile w tym prawdy – trudno dziś orzec. Zdaje się jednak, że wywód ten podyktowały dziejopisom zasady ówczesnej poprawności politycznej. Jakoś bowiem trzeba było dodać prestiżu dziewczynie, którą na żonę upatrzył sobie Henryk, syn księcia saskiego. Tego samego Henryka, który przez potomnych zwany był Ptasznikiem, po śmierci ojca objął władzę w Saksonii, a niedługo potem został pierwszym niemieckim królem. Przypominanie czcigodnych korzeni rodu Matyldy miało też, jak sądzę, za zadanie odwrócenie uwagi od faktu, że Matylda była drugą żoną Henryka, a pierwsza... wciąż żyła. Ba, owa pierwsza żona, Hateburga, dała nawet Henrykowi pierworodnego syna – Thankmara (Tammona). Urodzona gdzieś w 890 r. Hateburga została żoną Henryka około 906 r. Tak sprawę opisał kronikarz Thietmar z Merseburga:

Tymczasem Henryk, dowiedziawszy się o pewnej sławnej pani, którą nazywano Hateburgą, zapalał do niej miłością młodzieńczą i za żonę ją posiąść zapragnął. [...] Choć wiedział Henryk, że Hateburga jest wdową i mniszką, to jednak jej piękność i bogactwo dziedzictwa sprawiły, iż wysłał do niej jak najszybciej posłów i wierność przyrzekając prosił o jej rękę. Wówczas Hateburga, ulegając wielu prośbom i radom, wyruszyła do niego w towarzystwie posłów i została przyjęta przez jego poddanych z honorami i należną sobie miłością. Po zawarciu małżeństwa, zgodnie z obowiązującym zwyczajem [zgodnie z ówczesnym prawem zwyczajowym małżeństwo uważano za zawarte po wyrażeniu woli przez oboje zainteresowanych i dopełnieniu pokładzin], młody małżonek przybył wraz ze swoją żoną do Merseburga. (Kronika Thietmara, tłum. M. Z. Jedlicki, Kraków 2002, s. 6)

Jak widać – ze strony Henryka (a właściwie jego ojca, bo to on miał główny wpływ na zaaranżowanie tego małżeństwa) chodziło w dużej mierze o kwestie polityczne i majątkowe. Hateburga była bowiem dziedziczką merseburskiego grafa Erwina. Synów graf nie miał, więc całe włości przypadły dwóm jego córkom. Hateburdze dostało się, między innymi, merseburskie Stare Miasto. Planom małżeńskim nie przeszkodził nawet fakt, że Hateburga była wdową i przebywała już w klasztorze. Jako że Kościołowi żal było tracić dobra wnoszone przez wdowy wstępujące do klasztorów – prawo kanoniczne zabraniało im ponownego zamążpójścia. Z tego też powodu związek Henryka z Hateburgą oprotestował halbersztadzki biskup Zygmunt: *na mocy swej władzy apostołskiej zabronił im przez posła i osobnym listem dalszego utrzymywania cielesnych stosunków, następnie wezwał na specjalnie zwołany synod. (Kronika Thietmara, s. 6)*

Nic to jednak nie dało, ojciec Henryka cieszył się bowiem poparciem królewskim i wkrótce do biskupa trafiło pismo nakazujące mu zdjęcie zakazów.

Małżeńska sielanka trwała trzy lata, urodził im się Tankmar. Nagle, w 909 r. Henryk uznał, że biskup Zygmunt miał rację – i że błędem było związanie się z wdową-mniszką. Jeśli myślałby kto, że to prawda, to niezawodny Thietmar z Merseburga nie pozostawia wątpliwości co do prawdziwych motywacji księcia Henryka:

Lecz gdy miłość króla do żony słabnąć zaczęła, zapłonął on skrytą namiętnością do pewnej pięknej i bogatej dziewczyny, imieniem Matylda. Ogień długo tajonej miłości

wybuchnął w końcu i wówczas król, wyznawszy publicznie, iż wielce grzeszył dotychczas żyjąc w niedozwolonym małżeństwie, zwrócił się przez krewnych z prośbą o rękę Matyldy [...]. (Kronika Thietmara, s. 8.)

Hateburgę odesłano więc na powrót do klasztoru (jednak jej włości wniesione w posagu Henryk bezprawnie zatrzymał), a jej miejsce zajęła Matylda, która liczyła wówczas najwyżej czternaście wiosen. Henryk był od niej starszy o jakieś dwadzieścia lat. Kiedy czyta się uważnie dalszy ciąg relacji Thietmara, można przypuszczać, że jednak nie tylko chuci pchnęły Henryka do tego małżeństwa. Wszak resztę swego życia spędził już u boku Matyldy, a było tego ćwierć wieku!

Ponieważ słabe jest serce kobiety i znane były Matyldzie jego nadzwyczajne przymioty, przeto wyraziła ona zgodę. Jako małżonka oddała ona Henrykowi wiele usług zarówno w sprawach duchowych, jak i świeckich. Urodziła mu z biegiem czasu, jak przystało, trzech synów: Ottona, Henryka i Brunona, których szczęśliwie wychowała i w ten sposób radość z takiego potomstwa wynagrodziła jej bóle rodzenia. (Kronika Thietmara, s. 8.).



Henryk I z żoną Matyldą i potomstwem; fragment tablicy genealogicznej z Kroniki kościoła Św. Pantaleona w Kolonii, druga połowa XII w.

Henryk, już jako król (od 919 r.) ponoć często radził się żony przed podjęciem ważnych decyzji. Godził się też na jej działalność dobroczynną oraz krzewienie chrześcijaństwa poprzez fundacje kościelne. Małżonkowie dzielili zainteresowanie Słowianami mieszkającymi w rejonie Łaby, przy czym dla króla liczyło się ich jak najszybsze podporządkowanie polityczne, królowa zaś zabiegała o ich schryścianizowanie i upowszechnienie wśród nich nowej wiary. Pobożność i zaangażowanie w kwestie wiary wyniosła Matylda z czasów, gdy jako dziecko przebywała u boku babki, będącej ksienią klasztoru w Herford. Tam Matylda zdobyła też wykształcenie, które – w połączeniu z inteligencją – pozwalało na późniejsze aktywne uczestniczenie w rządach Henryka I. Wielokrotnie interweniowała u męża w sprawach politycznych, z którymi zwracali się do niej współpracownicy Henryka I. Jako że ówczesny sposób sprawowania władzy wymagał od króla ciągłego podróżowania – Matylda zwykle przebywała w ciągłych rozjazdach wraz z Henrykiem. W pałacach królewskich pozostawała jedynie w czasie kampanii wojennych Henryka. Wspólne pożycie zaowocowało nie tylko trzema wymienionymi wyżej przez Thietmara synami, ale również dwiema córkami – Gerbergą i Hedwigą.

Nie zawsze jednak chyba wszystko szło tak zgodnie. Zdaje się, że króla długo nie opuszczały młodzieńcze żądze, a pobożnej królowej niekoniecznie zawsze musiało się to podobać. Thietmar wspomina o znamienym incydencie, który mógł się przyczynić nie tylko do pogorszenia relacji między małżonkami, ale także mogącym szargać opinię królowej:

[Henryk I] *Upiwszy się [...] ponad miarę w dzień Wielkiego Czwartku, a następnej nocy z poduszczenia czarta obcował cielesnie z żoną, mimo iż Kościół tego zabrania i małżonka się bardzo temu sprzeciwiała. Ten fakt zdradził pewnej czcigodnej matronie*

sam szatan, sprawca owego występku [...] w słowach: „Królowa Matylda, za moją namową powolna chuciom męża, poczęła właśnie syna, który bez żadnej wątpliwości jest moim synem. [...]” Owa matrona [...] powiadomiła o wszystkim królową, ostrzegając ją, by zawsze miała w pobliżu siebie biskupów i księży oraz by świętą wodą chrztu zmyła w chwili urodzenia chłopca to wszystko, co zakiełkowało w nim ku radości złego ducha [...]. [...] Demon zaś [...] łajał rzeczoną niewiastę [...]: „Choć tym razem mój plan został udaremniony przez twoje oszczercze gadulstwo, to jednak tyle dokazałem, że nie opuści odtąd ani jego, ani tych, którzy się z jego lędźwi narodzą, moja kuma niezgoda, i trwały pokój nie będzie nigdy ich udziałem”. (Kronika Thietmara, s. 15)

W związku z tym, że Thietmar w swój zwykle chronologicznie prowadzony wywód wplata dygresje, a przytoczony fragment jest jedną z nich, trudno orzec, któremu z synów Matyldy można by przypisać owo „demoniczne” pochodzenie. Jeśliby się jednak kierować datacją umieszczaną na marginesach *Kroniki*, to diabelskim nasieniem byłby Bruno, późniejszy arcybiskup Kolonii i święty. Bardziej prawdopodobnym kandydatem do bycia szatańskim potomkiem wydaje się jednak Henryk, o 4-5 lat starszy brat Bruna. A ostatni passus zacytowanej przez kronikarza wypowiedzi demona potwierdzałaby moje przypuszczenie, gdyż to akurat Henryk skonfliktowany był ze swoim najstarszym bratem Ottonem I. Nie mógł się bowiem pogodzić z faktem, że to właśnie Otton objął tron. Czyż nie była znamieniem diabelskim próba zabicia Ottona podjęta przez Henryka w 941 r. w Kwedlinburgu. Między wierszami Thietmarowskiej *Kroniki* można wyczytać, że do działalności Henryka przyczyniła się matczyzna miłość Matyldy, która rozdmuchała ambicje młodzieńca.

Niektórzy twierdzą, że Matylda przez długi czas o to zabiegała, aby jej młodszy syn Henryk objął tron ojcowy. Lecz nie chciał tego Bóg, który swym wybrańcom zawsze z góry właściwe stanowisko wyznacza, ani nie zgodziła się na to większość książąt, którzy przytaczając rozumne, a więc tym łatwiej przekonujące powody, odwiedli królową-wdowę od tego planu i poradziły jej, że stosowniej będzie, gdy starszy syn uzyska pierwszeństwo przed Henrykiem, a on sam otrzyma rządy w Bawarii. (Kronika Thietmara, s. 13-14)

Nim doszło do konfliktu między braćmi – ich matka musiała pochować swego męża, króla Henryka I, który zmarł w 936 r. Zgodnie z jego wolą złożono go w krypcie kaplicy na Górze Zamkowej w Kwedlinburgu, zaś *...królowa Matylda [...] Założyła również w 30 dni po jego śmierci zgromadzenie zakonne we wspomnianym wyżej grodzie i wydzieliła mu ze swego majątku za zgodą synów wszystko, co było potrzebne do utrzymania i ubrania mniszek. Darowiznę tę potwierdziła następnie w osobnym dokumencie. (Kronika Thietmara, s. 13)*

Fundacja kolegiaty kwedlinburskiej i kilku innych klasztorów były możliwe dzięki temu, że król Henryk I przed śmiercią zadbał o jej wdowie zaopatrzenie wydzielając spore włości w spisanej w 929 r. ordynacji. Od czasu fundacji kwedlinburskiej kolegiaty świętego Serwacego przez następne 30 lat Matylda była jej zwierzchniczką. Córki najznamienitszych rodów saskich trafiały pod jej opiekę by w Kwedlinburgu pobierać naukę i formować się duchowo. Kwedlinburg zaś – zarówno przez działalność kolegiaty, a przede wszystkim przez bycie siedzibą władców (*sedis regalis*) – stał się centrum politycznym i kulturowym Niemiec.

Po śmierci męża, już za panowania Ottona I, najstarszego syna Matyldy, jako królowa-matka przebywała u jego boku, usiłując wywierać wpływ na rządy. Nie bez powodu, przecież jej germańskie z pochodzenia imię oznaczało *mocarną w walce*. Matylda kontynuowała też swoją dotychczasową rozległą działalność dobroczynną, karmiąc ubogich i obdarowując ich podarkami. Czyniła także kolejne darowizny na rzecz Kościoła, co nie podobało się współpracownikom Ottona, którzy oskarżyli Matyldę o trwonienie królewskiego majątku. Doprowadziło to do przejściowego usunięcia jej z dworu i zesłania do odległego klasztoru. Do pojednania między synem i matką doprowadziła synowa Matyldy, żona Ottona I, Edyta. Dzięki jej wstawiennictwu Matylda mogła wrócić do Kwedlinburga. W roku 962 wyruszyła także z Ottonem do Rzymu, na jego cesarską koronację.



Kolegiata św. Serwacego w Kwedlinburgu

W sezonie turystycznym kolegiatę można zwiedzać od wtorku do soboty między 10:00 a 18:00, zaś w niedziele i święta między 12:00 a 18:00. Bilet wstępu – obejmujący kolegiatę, skarbiec oraz kryptę – kosztuje 6 euro (ulgowy 4). Naprawdę warto zobaczyć wszystko; jeśli jednak żal pieniędzy, to można zrezygnować ze zwiedzania krypty – wtedy bilet kosztuje 4,50 (ulgowy 3). Z kolei – jeśli ktoś ma ciut więcej czasu i lubi rozwijać swoją wiedzę – może kupić też bilet umożliwiający zwiedzanie kolegiaty, skarbcza, krypty i muzeum zamkowego (8,50/5,50)

Sześć lat później umierająca już Matylda wyprorokowała śmierć swojego wnuka: *W tym samym czasie zasnął w Panu [...] 2 marca, w chwili gdy raczej oczekiwał śmierci chorej królowej Matyldy, arcybiskup moguncki Wilhelm [...]. Jego śmierć zapowiedziała wszystkim obecnym dostojna i ciężką niemocą złożona królowa, choć nie miała o niej dotąd żadnej wiadomości. Rzekła mianowicie: „Ach! Mój wnuk Wilhelm umiera właśnie i wielce potrzebuje, by pamiętano o zbawieniu jego duszy”. [...] Z kolei święta Matylda opuściła 14 marca tę krainę wygnania oddając duszę swemu Bogu i Stwórcy. Pochowano ją przed ołtarzem biskupa Chrystusowego, św. Serwacego obok jej męża, z którym, tak jak go miłowała za życia, również po śmierci pragnęła zawsze być połączona. (Kronika Thietmara, s. 26-27).*

Zadziwiające, że mimo zawieruchy dziejowej i zniszczeń, które dotyczyły kwedlinburską kolegiatę, doczesne szczątki Matyldy przetrwały w prostym sarkofagu do dziś. Za to szczątków mającego leżeć tuż obok Matyldy Henryka I nigdy nie znaleziono. A przecież szukano bardzo intensywnie. W XX wieku, po przejęciu władzy w Niemczech przez nazistów, grobu pierwszego władcy Niemiec poszukiwał Heinrich Himmler ze swoją esesmańską szajką. Jako że nic nie znaleźli – w 1936 r., by nie było blamażu na uroczystościach tysiąclecia śmierci Henryka I, zorganizowali mistyfikację z rzekomym grobem króla. A kiedy już propagandowa wrzawa ucichła – SS przejęła kolegiatę i urządziła w niej swoje podejrzané ceremonie. Sarkofag Henrykowy wyprodukowany przez nazistów można oglądać w zamkowym muzeum w ramach niewielkiej stałej wystawy na temat rezydowania SS w świątyni.

Matylda pewnie przewracała się w grobie na te wszystkie esesmańskie bezeceństwa. Została wszak świętą – bezpośrednio po śmierci w Saksonii upowszechnił się jej kult religijny, a oficjalna kanonizacja nastąpiła dwa wieki później. Prócz jej grobu w krypcie kolegiackiej można też odwiedzić w zamkowym muzeum pozostałości pomieszczenia modlitewnego Matyldy z zachowanymi sklepieniami i elementami kolumn (trzony, kapitele) z X w.

Stereo i w kolorze

021

27 listopada, a więc ładne parę tygodni temu (kiedy piszę te słowa minęły prawie trzy) zmarł Ken Russell.

Dziwnym był twórcą: niepokornym i więcej niż trochę szalonym. Miał – i ma – wszelkie prawo po prostu się nie podobać... ale na słowo „twórca” nie oburzają się nawet jego najzagorzalsi przeciwnicy. Kwestionują etykę, ale nie próbują lekceważyć estetyki (czy też jej manifestacyjnego braku). Cokolwiek zrobił, jakkolwiek zrobił – budził podziw, choćby i niechętny. Roboczo można to nazwać „siłą talentu”, co jest w mojej opinii najwyższą pochwałą dziś, kiedy słowa „talent” unika się jak ognia, a jeśli nie można inaczej, to wypowiada się je z przekąsem. Indywidualność nie jest już zaletą, przede wszystkim wśród wielbicieli fantastyki, gdzie sukces mierzy się popularnością. Czyli równym marszem jak największego stada baranów. Jak wszędzie... ale to żadne usprawiedliwienie, prawda?

Filmy Russella można wprawdzie z grubsza podzielić na trzy grupy: o muzykach i muzyce, fantastyczne oraz inne; ale tak naprawdę one wszystkie są fantastyczne. A raczej byłyby, gdyby nie fakt, że fantastyczne (w sensie przynależne do gatunku fantastyki) jest to, co apriorycznie uznaje się za fantastyczne, nic mniej, ale i nic więcej. Frederik Pohl wiedział co mówi, kiedy mówił, że science fiction: „To coś, na co wskazują ludzie znający się na science fiction, kiedy wskazują na coś i mówią: 'to właśnie jest science fiction'”. Najmniejszy wspólny mianownik jest rzeczywiście najmniejszy, żadna wielkość do niego nie pasuje.

Niestety.

I tak Kenowi Russellowi „zalicza się” wyłącznie „Odmienne stany świadomości”, funkcjonujące zresztą na zasadzie czcigodnego klasyka: tytuł trzeba znać, ale film już niekoniecznie obejrzeć. Ekranizacja jedynej powieści Paddy Chayefsky'ego (tak, tego scenarzysty słynnego „Siecia”; a swoją drogą: czy to nie dziwne, że jedyną jego powieścią jest powieść SF? Czy ma polskie tłumaczenie?), pamiętna debiutem Williama Hurta i... Drew Barrymore – zaledwie cztery lata wcześniej od „Terminatora” wydaje się przynależać do innej epoki. Tej, w której liczyło się (jeszcze) rozsądzanie gatunkowych granic, a nie radosne, niewolnicze zamykanie się w nich jak murami oblężonej twierdzy, bo tylko „nowa przygoda” to gwarancja sukcesu.

No, jeśli mierzyć sukces box officem i ogromem franczyzy, rzeczywiście. Mimo kasowego i artystycznego powodzenia „Odmienne stany świadomości” nie spłodziły przeciw bandy naśladowców, bo i nie mogły. A bez nich, bez sequeli, prequeli i namolnych oleodrukowych podróbek dla śmiechu chyba nazywanych „hołdem”, podzieliły los lepszej monety.

Jak „Diabły”, których podstawą była powieść Aldousa Huxleya, tego od „Nowego wspaniałego świata”.

Jak „Gotyk” – szalona wizja nocy, podczas której powstały dwa dzieła wyznaczające kierunek fantastyce do dziś, a nawet przede wszystkim dziś: „Frankenstein albo: Współczesny Prometeusz” oraz „Wampir” – opowieść, w której po raz pierwszy to tanie, folklorystyczne straszdyło przeniesiono w wyższe sfery i kazano mu się żywić błękitną krwią.

Gdyby fantastyka była świadoma swego bogactwa, gdyby starała się, jak dobry biznesmen, gromadzić je i mnożyć – śmierć twórcy „Tommy'ego” (dzieła bardziej fantastycznego od wielu innych, przez pohłowskich „znawców” akceptowanych bez zmrżenia oka... i bez odruchu obrzydzenia) nie przeszłaby bez echa. Ale cóż, konwenty sponsorują dziś kanały „scifi” – trzeba się dostosować.

Jakim je Panie Znanco stworzyłeś, takim je masz.

Więc czekamy na kontynuacje Martina i do diabła z Kenem Russellem.

Krzysztof Sokółowski

MINIGALERIA NOROCONU (2)



GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

INFORMATOR GKF
#272
ISSN 1505-8476

ADRES GKF: Gdańsk Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.org.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nac.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski,
Michał Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz

DRUK : PRINT GROUP Sp. z o.o., <http://printgroup.pl>

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/Gdynia nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji

MINIGALERIA NOROCONU (3)

